MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 23. WARSZAWA, 10 MAJA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZESZŁOŚĆ I CHWILA BIEŻĄCA

DRUGI tom dzieła M. Seydy „Polska na przełomie dziejów“ ukazał się w momencie szczególnego zainteresowania sprawą odbudowy państwa polskiego.

Podczas wojny zajmowali się żywo nasi historycy, wraz z wykształconemi kołami społeczeństwa, zagadnieniem przyczyn upadku Polski. Wystarczy przypomnieć gorący spór „optymistów“ z Balzerem na czele, którzy przypisywali upadek Polski raczej nieprzyjaznym warunkom zewnętrznym, z „pesymistami“, ze szkołą krakowską, która własne przewiny polskiego narodu, a więc głównie przyczyny wewnętrzne, wysuwała na czoło.

Po wojnie przywiązujemy oczywiście specjalną wagę do pytania: jak odbudowano Polskę? Możliwie pewna odpowiedź na to kapitalne pytanie ma nietylko czysto teoretyczne, oderwane znaczenie, ale pozwala lepiej rozumieć teraźniejszość i celowo, z sensem kształtować przyszłość.

Wiele zjawisk z bieżącego życia politycznego, pozornie niezrozumiałych, wyjaśniają w sposób pewny i niezawodny dzieje polityki polskiej czasu wojny.

Weźmy dla przykładu obecne chwiejne i ustępliwe stanowisko piłsudczyków i — pokłóconych z nimi po maju, a kiedyś jedną, zwartą całość stanowiących—socjalistów w sprawie niedawno ratyfikowanych przez ciała ustawodawcze umów z Niemcami. Kto zna przebieg wydarzeń politycznych w dobie wielkiej wojny, gwałtowną, nie przebierającą w środkach kampanję t. zw. aktywistów na rzecz małego, od Niemiec z konieczności uzależnionego państewka polskiego i zażartą, naoślep prowadzoną obronę programu przymierza z państwami centralnemi, jeszcze w czerwcu 1918 r. (kompromitujące oświadczenie rządu Steczkowskiego przeciw doniosłej dla Polski deklaracji wersalskiej państw sprzymierzonych) a nawet w sierpniu tegoż roku (słynna podróż Janusza Radziwiłła i Ronikiera do kwatery głównej w Spaa i ofiarowanie korony polskiej Wilhelmowi), a więc w chwili, kiedy wojska sprzymierzone złamały już ofensywę niemiecką i przechyliły szalę zdecydowanie na rzecz zwycięstwa koalicji,—ten łatwiej pojmie dzisiejsze wahania i dzisiejsze sympatje obozu, w którym ks. J. Radziwiłł niepoślednią odgrywa rolę. Nawiasem tutaj dodajemy, że różnica między konserwatystami a piłsudczykami polegała na tem, że piłsudczycy wcześniej, bo już w połowie 1917 r. zorjentowali się byli w sytuacji i umiejętnie skręcili na nowy, przeciw okupacji skierowany tor. W związku z tem warto za Seydą przypomnieć, że do połowy grudnia 1918 r. rząd Moraczewskiego i Leona Wasilewskiego „utrzymywał dyplomatyczne stosunki z Rzeszą Niemiecką, i to „jak najbardziej serdeczne“, upostaciowane w poselstwie niemieckiem w Warszawie, jedynem tam przedstawicielstwie

zagranicznem, oraz w ekspozyturze polskiej w Berlinie (Niemojowskiego)". Nie świadczyło to o zdolności przewidywania i, mówiąc łagodnie, mądrości politycznej, ani jednych ani drugich.

Już ten jeden przykład, a można by je z powodzeniem mnożyć, tłumaczy doniosłość prac, przedstawiających dzieje odbudowania Polski. To też spór, czy pisać najnowszą historję Polski, czy czekać, aż się wypadki wojenne zasnują mgłą niepamięci, a dokumenty odleżą w archiwach, jest już, zdaje się, przesądzony na rzecz pisania. Chodzi wszakże nie o to, czy pisać, ale j a k pisać? Jesteśmy bowiem świadkami gorączkowych zabiegów, zmierzających do przeinaczania faktów historycznych. Są usiłowania w prasie i szkole, ażeby narzucić gwałtem urzędowy pogląd na najnowsze dzieje Polski, ażeby istotny przebieg zdarzeń i jedyny program polityczny, który doprowadził do pełnej niepodległości, zastąpić legendą, ażeby prawdę historyczną sfałszować i utopić w morzu kłamstw, oszczerstw i fantazyj, jakie codziennie niemal z tupetem snują nadworni dziejopisarze. Tej zabawnej krzątaninie przyświeca wcale wyraźny cel: zatarcia — zwłaszcza w świadomości młodego pokolenia — śladów swojej własnej, nieudolnej i nieprzewidującej orjentacji politycznej z okresu wojny. Ilością publikacyj i krzykiem, jaki dokoła sprawy odbudowania Polski podnoszą, pragną zagłuszyć wymowę niedawnych dziejów. Dzieło M. Seydy przecina „radosną twórczość" historyków sanacyjnych, przemawia twardym językiem faktów i dokumentów, które nie dadzą się zakrzyczeć, gromadzi nieznany szerszemu ogółowi, często rewelacyjny materjał z pierwszej ręki, którego odeprzeć ani sfałszować niepodobna.

Autor objął w drugim tomie swego znakomitego dzieła okres czasu od zbrojnego wystąpienia Stanów Zjednoczonych do końca wojny i likwidacji Komitetu Narodowego Polskiego czyli do 15 sierpnia 1919 r., czerpiąc obficie z archiwów, pamiętników polskich i obcych, sprawozdań stenograficznych, zbiorów państwowych i prywatnych, przekazów ustnych, wydawnictw źródłowych, prasy ówczesnej, książek i innych często nieznanych dokumentów; cenne zwłaszcza są po raz pierwszy ogłoszone akty z archiwum Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. O dokładności Seydy świadczy fakt, że poprawia nieścisłe tłumaczenia polskie dokumentów obcych, zawarte np. w „Uwagach" Askenazego (ściśle historycznej metodzie Seydy należałoby poświęcić osobny artykuł). W powyższy sposób — przy zachowaniu *maximum* objektywności — przesunął przed czytelnikiem autor „Polski na przełomie dziejów" akt za aktem tego dramatu światowego, który doprowadził — wskutek przewidującej i mądrej polityki R. Dmowskiego i obozu narodowego — do zjednoczonej i prawdziwie niepodległej Polski. Talent Seydy sprawił nadto, że nie zgubił się on w gąszczu faktów, ale umiał je powiązać, ująć w system i wyjaśnić w sposób żywy i potoczysty.

Książka M. Seydy dowodzi wreszcie, przedstawiając b. obszernie stanowiska społeczeństwa polskiego wszystkich trzech zaborów i wychodźtwa w Rosji i Ameryce, że „obok korzystnych dla nas międzynarodowych konjunktur politycznych, zadecydowała o losie swym w sposób pierwszorzędny Polska, jako podmiot, jako czynnik aktywny, polityczną postawą, politycznem działaniem", że nie dostaliśmy — innemi słowy — niepodległości za darmo, że trzeba było podjąć olbrzymi wysiłek, aby sprawę polską wydźwignąć na międzynarodowy poziom, związać z państwami sprzymierzonemi, bo tylko na gruzach potęgi pruskiej mogła powstać naprawdę niezależna Polska i zasiąść ze zwycięską koalicją jako równa z równymi na konferencji pokojowej w Paryżu. Kto chce choć w przybliżeniu poznać, jak trudną, ile hartu ducha i oddania sprawie wymagającą drogę do Polski przebył R. Dmowski i garść polityków, skupionych w Komitecie Narodowym Polskim oraz popierające Komitet koła polityczne w kraju, ile trzeba było usunąć przeszkód, stawianych przez obcych, a—niestety — często i przez swoich wpoprzek jedynie realnemu programowi przeciwniemieckiemu, jak uparcie, z jaką godnością strzec niezależności polityki polskiej (np. stopniowe etapy tworzenia armji polskiej we Francji), ile użyć wiedzy i rozumu tudzież zręczności politycznej, ażeby wywalczyć przyjęcie programu terytorjalnego Komitetu Narodowego, ile wreszcie wylać krwi polskiego żołnierza w Wielkopolsce, na Śląsku, we Lwowie i na kresach wschodnich, aby poprzeć zabiegi dyplomatyczne naszych przedstawicieli, — ten niech czyta od deski do deski dzieło Seydy.

Bije z niego wiara w naród i wyrasta ogrom pracy, włożonej w odbudowanie Polski.

Niepodobna orjentować się należycie we współczesnych wypadkach, ani rządzić Polską, jeżeli się nie zna najnowszych dziejów swego kraju.

Wdzięcznym trzeba być M. Seydzie za to, że obok książki Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa" i pracy St. Kozickiego „Sprawa granic Polski na konferencji pokojowej w Paryżu" postawił swoje cenne dzieło, zawierając w niem bogatą wiedzę, jaką posiadł, biorąc czynny udział w tworzeniu ówczesnych wypadków.

Zasługa Seydy tem większa, że umożliwił młodemu zwłaszcza pokoleniu poznanie niesfałszowanych dziejów Polski z lat wielkiej wojny.

Szczupły zasób poważnych prac historycznych z tego okresu wzbogacił się o nieprzeciętnej wartości dzieło.

TADEUSZ BIELECKI

RZUT OKA NA WSPÓŁCZESNĄ ORJENTALISTYKĘ POLSKĄ

ŻYWE zainteresowanie się Wschodem śledzimy w Polsce od czasów bardzo dawnych; sięga bowiem po wiek XII. Wschodnie krainy, znane z najfantastyczniejszych opowiadań, pociągały zawsze licznych wędrowców, chciwych wrażeń i przygód. Wschód — to dla pierwszych polskich chrześcijan przedewszystkiem Ziemia Święta, uświęcona stopami Zbawiciela, jęcząca w niewoli u nieprzyjaciół Krzyża. Ku niej niosła licznych pielgrzymów serdeczna tęsknota i ciekawość. [1])

W czasach dopiero najnowszych, z pocz. XIX w. zjawiają się u nas naukowe zainteresowania się Wschodem, chociaż i wcześniej mieliśmy poważnych badaczy. Z początkiem XVI w. Maciej Miechowita zwrócił uwagę w nauce na przynależność językową Węgrów do ich krewniaków uralskich. W XVII w. mamy Ołużnowskiego, pierwszego w Europie tłumacza „Gulistanu", czyli Ogrodu Różanego Saadi'ego na język polski. Nazwiska Menińskiego, Krusińskiego znane są wcale dobrze nauce europejskiej. W XIX stuleciu żyje cały szereg wybitnych orjentalistów polskich, którzy pracują najczęściej w językach obcych i na chwałę obcej nauki (rosyjskiej głównie i francuskiej). Wincenty Skorochód-Majewski, pierwszy sanskrytolog polski, jest jednym z pierwszych znawców sanskrytu w Europie. Józef Sękowski, wysłany z Wilna przez Groddecka i Lelewela na Wschód, osiadł później w Petersburgu, pociągnięty dogodniejszemi warunkami życia i pracy, co i dziś, niestety, często zatrzymuje uczonych Polaków zagranicą. Antoni Muchliński, późniejszy profesor literatur i języków wschodnich w Petersburgu, znany jest jako autor do dziś dnia jedynej pracy w tym zakresie, mianowicie słownika zapożyczeń wschodnich w języku polskim pt. „Źródłosłownik" (Petersburg 1858). Aleksander Chodźko, persista, autor po dziś dzień znakomitej gramatyki języka perskiego po francusku, Józef Kowalewski, Kazimierski, arabista i inni — oto cała plejada gwiazd orjentalistyki polskiej, świecąca na niebie przeważnie obcej nauki.

Pod koniec XIX w. i z pocz. bieżącego stulecia zaznacza się bardzo wyraźnie wpływ kultur Wschodu na umysłowość i piśmiennictwo polskie. Całą twórczość „Młodej Polski" przenika myśl indyjska. Sprawą motywów czy pierwiastków orjentalnych w twórczości wspomnianej grupy literackiej zajmiemy się może niebawem. Miciński oraz Kasprowicz są głównymi przedstawicielami tego orjentalizmu. Jednych z twórców „Młodej Polski" pociąga głębia myśli filozofij i religij wschodnich, którą poetycko w swych utworach przeżywają (Miciński, Kasprowicz, Tetmajer i i inni), drugich pochłania piękno klasycznych języków i praca tłumaczów (najwybitniejszym z nich Antoni Lange).

Powyższe dane wystarczą do zilustrowania łączności Polski ze Wschodem w najszerszem tego słowa znaczeniu.

[1]) Por. J. St. Bystroń: „Polacy w Ziemi Świętej, Syrji, Egipcie (1147—1914)". Kraków 1930.

Potrzebę studjów orjentalistycznych rozumiał dobrze król Stanisław August. Budżet roczny króla uwzględniał na posłów zagranicznych, gabinet, tłumaczów i Szkoły orjentalne 270,000 złp. — Szkoła orjentalna, założona w Konstantynopolu przetrwała 30 lat.

Z chwilą uzyskania przez nas niepodległości stosunki dotychczasowe odnośnie do zagadnień Wschodu uległy z konieczności dużej zmianie. Nowe formy państwowości polskiej otworzyły nowe horyzonty. W tym względzie zjawiła się potrzeba ekspansji politycznej, kulturalnej i ekonomicznej na Wschód i konieczność porozumiewania się na tych terenach z krajami bliskiego zarówno jak i dalekiego Wschodu.

Znalazł się człowiek, który bystrym swym umysłem ocenił doniosłość studjów orjentalnych w Polsce odrodzonej i stał się odnowicielem orjentalistyki polskiej. Tym człowiekiem był pierwszorzędny uczony i wielki patrjota śp. Andrzej Gawroński, profesor językoznastwa porównawczego i filologji indyjskiej na uniwersytecie lwowskim. Lwów wybiera on na ośrodek studjów orjentalistycznych, zakłada Towarzystwo orjentalistyczne i kładzie fundamenty pod Instytut orjentalistyczny, walcząc od początku z wielkiemi trudnościami, głównie z brakiem zrozumienia potrzeby takich studjów. Słusznie wyraził się o nim we wspomnieniu pośmiertnem prof. Stasiak, że zastał orjentalistykę polską — słomianą, a zostawił — drewnianą. Do murowanej bowiem jeszcze daleko.

Gdy się mówi o orjentalistyce, i dziś jeszcze słyszy się zdanie, że na tę gałąź wiedzy jeszcze u nas zawcześnie, że nie ma ona praktycznego zastosowania, że wkońcu za droga to zabawka itp. Te wszystkie zdania pochodzą z grubej ignorancji w odniesieniu do przebogatych przejawów kultur wschodnich, ich wpływów na życie kulturalne Zachodu, oraz możliwości rozwoju ekonomicznego naszych wschodnich sąsiadów w niedalekiej już przyszłości.

A jednak względy naukowe, polityczne i gospodarcze skłaniają do jaknajszybszego nawrócenia do tradycji i rozwinięcia studjów orjentalnych na szeroką skalę. Przedewszystkiem względy naukowe. Cała, rozległa połać dziejów stosunku Polski ze Wschodem tak długo nie zostanie należycie oświetlona, jak długo bogate źródła w językach tureckim, perskim i innych nie zostaną zbadane. „Gdy mnóstwo zjawisk" — pisze prof. T. Kowalski, islamista na uniwersytecie krakowskim — „które badają i o których piszą nasi humaniści, historycy, literaci, języko — i ludoznawcy, historycy sztuki i archeologowie tkwi swemi korzeniami we Wschodzie lub przynajmniej łączy się z nim ściśle, byłoby dalsze ignorowanie orjentalistyki, co najmniej wielkim błędem metodycznym." [2])

Przed wznowioną w Polsce odrodzonej orjentalistyką stają wielkie i niełatwe zadania. Dla tej

[2]) „Nauka Polska" T. II., S. 359.

na podstawach ściśle naukowych postawionej dziedziny, otwierającej olbrzymie horyzonty i dla pokrewnych nauk, a oświetlającej fundamenty całej współczesnej cywilizacji (wszak cywilizacja Zachodu, oparta na chrystjaniźmie, tkwi korzeniami we Wschodzie) trzeba zdobyć należne jej uznanie i zrozumienie poza kołami uczonych-specjalistów. W Polsce, dążącej do stanowiska mocarstwowego w świecie, nie może braknąć zarówno teoretycznej jak i praktycznej znajomości Wschodu. Ludzie chętni do pracy w tej dziedzinie, znajdują się, byleby tylko Państwo zechciało ułatwić im zajęcie sie temi studjami niepodzielnie.

Przeciętne społeczeństwo nasze tkwi jeszcze w grubych mrokach ignorancji odnośnie do przejawów życia kulturalnego ludów wschodnich. Całe bogactwo literatury staroindyjskiej (nie mówiąc o literaturach nowoindyjskich np. bengalskiej), perskiej i arabskiej jest dotychczas u nas księgą zamkniętą na siedm pieczęci. Literatura nasza nie w wielu wypadkach może się poszczycić takiemi przekładami, jak wspomniany „Ogród różany" Saadi'ego przełożony przez Ołużnowskiego a później przez Kazimirskiego i „Szanfary" przez Mickiewicza (zresztą nie z oryginału, lecz z przekładu francuskiego). Inne tłumaczenia, dokonywane za pośrednictwem języka niemieckiego, angielskiego, czy innych europejskich, są najczęściej karykaturą wspaniałych w formie i treści poematów wschodnich.

Otóż przed orjentalistyką współczesną leży i ten obowiązek przyswojenia literaturze polskiej arcydzieł literatur wschodnich. Zadanie to nie łatwe; wymaga bowiem od tłumacza, by był uczonym jednocześnie i poetą. Przekłady zmarłego niedawno A. Langego (np. Nal i Damajemti, z „Mahabharaty") zasługują tu na wzmiankę. Odznaczają się dużem odczuciem oryginału, gładkim wierszem i poetyckiem pięknem.

Ze względów społecznych ważną rzeczą jest zbadanie pochodzenia i określenia stanowiska w naszem państwie mniejszości na ziemiach polskich. Cała kwestja roli kulturalnej i wpływów tychże jest niemal nietknięta ręką badacza specjalisty. Na naszych ziemiach zamieszkują przecież Ormianie, Cyganie, Karaimi i Żydzi.

Naszkicowane powyżej czynniki natury naukowej, społecznej i kulturalnej uzasadniają chyba dostatecznie potrzebę orjentalistyki naszej? Są one bardzo znaczne w stosunku do ludzi i funduszów, jakiemi rozporządza. Odczuwać się daje gwałtowny brak odpowiednich warsztatów pracy, które należy wyposażyć w najpotrzebniejsze bibljoteki i pomoce naukowe. Najpotrzebniejsze słowniki, gramatyki, teksty i najważniejsze wydawnictwa, dotyczące Wschodu, trzeba sprowadzać z zagranicy z dużym nakładem kosztów. W polskiej literaturze naukowej niczego takiego nie znajdujemy poza „Rocznikiem Orjentalistycznym". Trzeba stworzyć drukarnię orjentalną, by można było drukować w kraju alfabetami wschodniemi. (Wkrótce drukarnia taka ma zostać uruchomiona we Lwowie, przy Uniwersytecie).

Najważniejszą rzeczą jest skupienie i kształcenie odpowiednich pracowników. Dzieje się to u wybitnych profesorów orjentalistów we Lwowie (W. Kotwicz, Z. Smogorzewski i S. Stasiak) i w Krakowie (T. Kowalski), u których kształci sią kilkoro młodych ludzi w różnych dziedzinach orjentalistyki. Mimo zapału do pracy, ludzie ci, niestety, z żalem muszą zaniedbywać, a często i rzucać studja orjentalistyczne, które im warunków pracy i bytu nie zapewniają.

A jak przedstawia się orjentalistyka w chwili bieżącej? Odpowiemy na to pytanie pobieżnie ze względu na ciasne ramy artykułu. Orjentalistyka polska, odbudowana głównie staraniem Andrzeja Gawrońskiego i postawiona odrazu na poziomie europejskim skupia się głównie w Instytucie Orjentalistycznym we Lwowie, na wydziale humanistycznym Uniwersytetu J. K. oraz w Krakowie, Warszawie i Poznaniu. Ogółem jest 6 katedr. We Lwowie 4, w Krakowie i Poznaniu po jednej. W Warszawie są 3 docentury. Założony również przez prof. Gawrońskiego „Rocznik Orjentalistyczny" jest ośrodkiem, skupiającym wyniki badań orjentalistów polskich w kraju i zagranicą. Pierwsza, cześć I tomu ukazała się w r. 1915, druga zaś w 1918 r. Rocznik drukowany jest w czterech językach (polski, francuski, angielski i niemieeki) w celu udostępnienia obcym wyników badań polskich uczonych. Obejmuje prawie wszystkie działy orjentalistyki. We Lwowie też istnieje od roku 1922 Polskie Towarzystwo Orjentalistyczne, do którego należy około 30 zawodowych orjentalistów. Obecnie prezesem Towarzystwa jest prof. Władysław Kotwicz, mongolista. Tu też została założona „Bibljoteka Wschodnia", mająca na celu popularyzowanie wiedzy o Wschodzie. Instytut Orjentalistyczny, również dzieło Andrzeja Gawrońskiego, rozwija się pomyślnie głównie staraniem obecnego dyrektora Instytutu prof. Zygmunta Smogorzewskiego, znanego ze swych prac o Abadytach (ortodoksi w islamie).

Ośrodkiem studjów orjentalnych w Krakowie jest Komisja Orjentalistyczna Polskiej Akademji Nauk i Umiejętności, założona w r. 1918, Komisja ta wydaje stale poważne prace naukowe. Dotąd ukazało się 13 tomów, zawierających prace następujących orjentalistów: T. Kowalskiego, śp. A. Gawrońskiego, śp. X. W. Szczepańskiego, I. Kopernickiego, D. Künstlingera, A. Śmieszka, H. Willman-Grabowskiej, J. H. Hirschberga i innych.

Wspomnieć należy też o Sekcji Orjentalistycznej Towarzystwa Naukowego w Warszawie. Zadaniem tego ogniska badań orjentalistycznych jest raczej szeroka popularyzacja Wschodu. Wybitnie charakteru naukowego nie ma.

Poza wspomnianemi instytucjami orjentalistyka znajduje skromny przytułek na wszystkich wydziałach teologicznych, gdzie są wykładane niektóre języki semickie, głównie hebrajski i aramejski. Na wydziale Teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego jest wykładany język sumeryjski i asyro-babiloński przez Prof. Ks. Józefa Bromskiego.

Wkońcu pod studja orjentalistyczne możnaby podciągnąć wykłady profesorów, historyków, którzy w swych studjach z konieczności zahaczają o Wschód starożytny, średniowieczny czy nawet współczesny.

Tak więc ogólnie przedstawiałby się obraz orjentalistyki polskiej w chwili bieżącej. Mogą się znaleźć tu i ówdzie luki, niedopatrzenia, spowodowane tem, że nauka ta stale postępuje naprzód, całość jednak została w najgrubszych rysach przedstawiona.

Jak wyżej wspomnieliśmy, śp. Andrzej Gawroński na ośrodek studjów orjentalistycznych w Polsce obrał Lwów. I nie mógł, zdaje się, lepiej trafić. Uniwersytet lwowski i władze miejskie odczuwały dawno potrzebę założenia we Lwowie szkoły orjentalnej. Ponieważ w ostatnich czasach dają się zauważyć pewne tendencje przeniesienia Instytutu Orjentalistycznego do zagarniającej wszystko dla siebie stolicy, pozwolę sobie przytoczyć szereg własnych i cudzych argumentów, przemawiających za Lwowem, jako centrem orjentalistyki naszej.

Już same warunki geograficzne znakomicie predestynują Gród *semper fidelis* na ognisko orjentalistyki polskiej. Lwów bowiem jest jedynem większem miastem Rzeczypospolitej, wysuniętem daleko na południowy wschód. Tu od dawien dawna krzyżowały się szlaki handlowe, wiodące z krajów słowiańskich na Bliski Wschód, dzięki czemu znalazły tu stałe miejsce Targi Wschodnie, cieszące się coraz lepszą frekwencją kupców lewantyńskich. We Lwowie wobec tego, a nie gdzieindziej, najliczniej skupiać się będą ludzie, praktycznie interesujący się Wschodem.

Do dziś dnia istnieje w tem mieście bardzo silna tradycja stosunków z narodami wschodniemi. Ślady wzajemnych wpływów kulturalnych są jeszcze bardzo częste, zarówno w mieście samem jak i w okolicy. Sztuka ormiańska (której najwspanialszym przykładem jest katedra ormiańska), rękopisy, a także resztki karaitów i Ormian na prowincji są wymownymi tychże tradycyj świadkami.

W rozwijającej się Rzeczypospolitej Lwów będzie miastem, najwięcej przyciągającem Wschód do Polski. To jego stanowisko, jako ośrodka kulturalnego Zachodu, zaznaczało się już za czasów austrjackich, kiedy młodzież bałkańska zjeżdżała się do szkół lwowskich zawodowych, a panny rumuńskie kształciły się w zakładzie *Sacré-Coeur* („Nauka Polska". T. IV. S. 320—21)

Wreszcie jeszcze jeden wzgląd bardzo ważny. Zważywszy na zagrożoną polskość kresów wschodnich, Lwów powinien mieć Szkołę orjentalną, czy coś w tym rodzaju, instytucję naukową, jakiejby nie miały pozostałe miasta; a to w tym celu, by mogli tu przybywać na studja ludzie z różnych stron kraju i przyczyniać się walnie do zasilania i pomnażania tejże polskości.

Tyle wystarczy, i tak za dużo powiedziałem *pro domo sua*, jako Lwowianin, starając się stać na straży objektywności. Wypadki ostatnich tygodni na terenie polityki europejskiej czynią, zdaje mi się, sprawę orjentalistyki polskiej jeszcze bardziej aktualną, niż dotychczas. Porozumienie gospodarcze Niemiec z Austrją, które jest zapowiedzią niedalekiego porozumienia politycznego, każe nam myśleć o przyszłości gospodarczej Polski a mianowicie o porozumieniu podobnem z krajami sąsiedniemi. Jest rzeczą nieomal niewątpliwą, że przyszłość nasza ekonomiczna i potęga mocarstwowa może znaleźć swoje niewyczerpane źródło w naszych wschodnich sąsiadach. Do tego potrzeba będzie szeregu traktatów handlowych i porozumienia na polu gospodarczem. Do przygotowania należytego gruntu potrzeba nam jednak ludzi, znających Wschód, zarówno praktycznie jak i teoretycznie. A w tym celu potrzeba nam silnej orjentalistyki, postawionej na jaknajwyższym poziomie.

FRANCISZEK MACHALSKI

GWIAZDA LITERACKA: NORWID

(Ciąg dalszy)

5

FILOZOFJA idealistyczna stykała się w owych czasach bezpośrednio z potocznym ruchem umysłowym; poczytując się za siostrzycę poezji, wkraczała swobodnie na pole popularyzacji. Panowała wszechwładnie na uniwersytetach i w salonach; Warszawa w czasach Norwida bodaj więcej interesowała się filozofją, niż poezją. W analizie wszakże Norwida nie daleko postąpimy, trzymając się gruntu systemów filozoficznych. Nasiona kwietne filozofji nalatywały różne z wiatrem zachodnim; wystarczy wskazać na kierunek, jaki te powiewy nadawały wyobraźni poetyckiej; użytek potoczny zniekształcał idee, zostawało nastawienie. I to nastawienie trzeba traktować jako f a k t p s y c h i c z n y i psychologicznie je wyjaśnić.

W gruncie rzeczy zawiłe systemy filozofji niemieckiej, będące kolejnem przerabianiem pod różnym kątem zagadnień ducha, dają się ściągnąć do psychologji. Można powiedzieć, że twórcy tych systemów oddawali się spekulacjom filozoficznym kosztem kapitałów psychologji.

Żeby nie nużyć schematami, dam żywy przykład, jak wyglądają fakty psychiczne z tych dziedzin

Jestem na wsi mazowieckiej, którą tak dobrze znał Norwid. Właściciel majątku, człowiek światły, prawy, zrównoważony, jednolity, z dziada pradziada w tej wsi, pracę i ziemię kochający, prowadzi mnie w pole drogą, którą świeżo przekształcił na szosę i którą z obu stron obsadził drzewkami.

— Co drugie drzewko jarzębina — objaśnia mnie. — Jak się to rozrośnie, to w jesieni... Mnie wtedy, jak to literatowi rozrzewnionemu wsią, staje odrazu w głowie piękny obraz drzew koralowych. — To wtedy — kończy — będziemy tu sobie strzelać jarząbki.

Myśleliśmy o tem samem, ale co innego.

Był październik, trochę mglisto i wietrzno. Wiatr szarpał drzewkami, jeszcze obciążonemi liściem. W pewnym momencie z ciszy doszło nas ledwie dosłyszalne skrzypnięcie raz i drugi i trzeci, głos jakby ptaka, jakiś dla mnie żałosny. Gospodarz rozejrzał się:

— Któreż to? — Jakby się pytał o dziecko.

Wsłuchał się dobrze. Drzewko popiskiwało. Podszedł do niego i przyjrzał się troskliwie. Ja doznałem wrażenia, że drzewko istotnie płakało jak dziecko; widząc gospodarza, pragnęło się poskarżyć. Wydało mi się to bardzo poetyckie, przyszła mi na myśl piosnka, znana mi z Górnego Śląska o jaworze, który gdy człowiek ciął go siekierą, zagadał do niego głosem ludzkim.

A gospodarz inaczej był poruszony:

— Muszę przysłać ludzi, żeby nanowo poprzywiązywali do palików. Patrz pan: to o ten sęczek na paliku ono się ociera — jak to już kora otarta. Powrósło nie trzyma dobrze, trzeba dać nowe.

Wyjął nóż składany, starannie ściął sęk z pala, a potem wyrwawszy z rowu garść trawy, skręcił powrósło i wprawnie drzewko przywiązał.

Gdym na to patrzał, znowu byłem wzruszony, ale już nie tkliwością dla drzewka, ani poetycką reminiscencją, lecz myślą o tem, czy przypadkiem poezja objektywna w życiu nie bywa więcej warta od poezji ze wzruszenia estetycznego. Podczas gdy ja się roztkliwiałem tylko — i to właściwie nie ze współczucia dla drzewa, lecz z zadowolenia, że mi się zdarzyła chwila poetycka, puszczająca wodze myślom w tajemnice bytu uduchowionego,— ten mazur, równie jak ja kulturalny, poruszył tym samym usłyszanym dźwiękiem zgoła odmienny porządek czynności duchowych i z r o b i ł uczynek miłosierny wobec drzewka, czyniąc rzecz użyteczną.

Miałem na ustach refleksję psychologiczną, ale nie podzieliłem się nią. Po co miałem zakłócać analizą tak piękną, syntetyczną postawę człowieka, której mu zresztą zazdrościłem? Ale mógł uczestniczyć w tym spacerze ktoś trzeci, któryby na to samo wołanie drzewka reagował jeszcze inaczej: ani czynem, ani delektacją estetyczną, lecz czystem myśleniem. Znamy taki stosunek do rzeczy u badaczów naukowych. To, co u gospodarza było chwilą badania praktycznego przyczyny, zamienićby się mogło u przyrodnika w refleksje przyrodnicze. A mógł być filozof typu platońskiego czy kantowskiego i ten najdalejby odbiegł od rzeczywistości. Mógłby to być wreszcie psycholog, któryby wziął za przedmiot myślenia samo myślenie i gospodarza, i moje, i swoje.

Byłyby to trzy fakty różnego reagowania psychicznego na to samo zjawisko, świadczące o różnicy w nastawieniach, ale w zasadzie nie przesądzające, żeby tym trzem reakcjom nie mógł ulec ten sam człowiek w różnych momentach.

Dążnością postępową w kulturze duchowej jest syntetyzowanie tych trzech układów w celu osiągnięcia integralności i zwrotności organizacji duchowej. Umysł polski we wszystkich trzech kierunkach twórczości jest z natury realistyczny i empirystyczny. Dąży przez kulturę do jedności i pełności, aby mógł w każdym momencie odszukać w sobie całego człowieka, reagującego na każde doznanie całą istnością—„po ludzku“—tak, aby rozumy „czysty“, „praktyczny“ i „estetyczny“ działały nie w rozbieżności, lecz owszem przenikały się wzajemnie i wspomagały, potęgując siłę twórczości. Przy takim harmonijnym rozwoju, cokolwiek człowiek umysłowo przedsiębierze—w takiem czy innem nastawieniu (na poznawanie czyste, na artyzm, czy na czyn) — dobywa z siebie głęboki ton, działa całym duchem i wtedy zniewala.

To jest norma. A mieć na oku tę normę przy badaniu artysty jest rzeczą niezbędną, bo inaczej nie rozwiążemy zagadnienia jego popularności. Teoremat tego zagadnienia jest następujący:

1) Zasadą życia duchowego ogółu, na który artysta liczy, jest owa „normalność“, lub dążenie instynktowe do niej, jako do ideału. Człowiek normalny jest modelem ogółu.

2) Istotą działania artysty jest: znaleźć w sobie takie środki, przy których pomocy mógłby postawić odbiorcę w warunki analogiczne do tych, jakie sprawiły, że sam doznał wzruszenia. Artysta obcuje z ogółem na zasadach kongenjalności.

3) Jeżeli w tem równaniu (artysta = ogół), wielkością niewiadomą co do swej natury jest artysta, to możemy go poznać z odbicia jego promieni w kongenjalności odbiorców.

4) Normalność natury jest pierwszym warunkiem zjawiska powszechnej popularności artysty (Mickiewicz).

5) Brak popularności (przy dużym artyzmie) dowodzi braków w budowie psychicznej artysty.

Zaufanie do mądrości natury w człowieku było zawsze podstawą mądrości człowieka i t. zw. filozofji zdrowego rozsądku, która długo broniła się w Polsce od spekulacji filozofów niemieckich. Przypomnijmy walkę o czystość kultury duchowej z filozofją niemiecką Jana Śniadeckiego. Rozumiał, co może grozić człowiekowi jeszcze nie zorganizowanemu duchowo, gdy się rozdwoi. To poczucie tkwiło głęboko jak instynkt w umyśle polskim z natury realistycznym. Przeciwnik Śniadeckiego z pola walk o romantyzm, Adam Mickiewicz, niemal w tym czasie, gdy Norwid pisał utwory, które przytaczam, w maju 1843 r. — mistyk przecież wtedy, wizjoner, mesjanista — grzmiał gniewem na scholastykę niemiecką, poczytującą myśl za wyrób syllogizmów. Przeciwstawiona temu punktowi widzenia koncepcja D u c h a, którą — według Mickiewicza — Cieszkowski przezwyciężył spekulatywny system poznawania, jest niczem innem, jak widzeniem psychologicznem owej syntetyczności człowieka. Mickiewicz i Cieszkowski walczyli z rozbieżnością układów psychicznych, przeciwstawiającą myśl oderwaną — popędom i wzruszeniom.

To, co Mickiewicz zarzucił Trentowskiemu, że uznając w jednem miejscu mądrość filozoficzną ludu, w innem uznawał tylko źródła filozofji, dobywające się skądś z bibljotek, to samo zastanawia nas u Norwida: wzruszała go myśl o czarodziejskiej mocy „fletu“ ludowego, ale właściwe dla siebie źródło sztuki wywodził z poza „artyzmu ziemi”. Wywodził teoretycznie i tem utrudniał sobie twórczość artystyczną, przełamywał bowiem swoją ludowość, która tkwiła w jego naturze, jako fakt psychiczny.

Ściągnięcie na grunt psychologji Norwidowej poezji potrzebne było dla pokazania, w którem miejscu załamywał się w tym poecie romantyzm. Norwid w tym stanie porażenia filozoficznego nie mógł być romantykiem, romantyzm bowiem był prądem odwrotnym. Raczej sprzysięgał się na rozum, niż na niego przysięgał, nie uznawał w nim odrębnego źródła twórczości. „Myśl” romantyczna była wytworem intuicyjnym wszystkich dziedzin ducha, działających łącznie dzięki wszystko ogarniającemu uczuciu. „Myśl” Norwida była punktem wyjścia natchnienia. Norwid był poza prądem romantycznym. Nie miał dla tego koło siebie kongenjalnych słuchaczy. Był raczej odległą zapowiedzią późniejszego okresu pozytywistycznego, oddającego sprawy ducha pod rządy rozumu.

6

Z zajętego w ten sposób stanowiska płynęły konsekwencje. Przedewszystkiem przypatrzmy się

stosunkowi Norwida do siebie samego — jakie było jego samopoczucie.

Norwid chodził swemi wiejskiemi drogami na Mazowszu jak wyobcowany, jako myśl oderwana od nieba, niosąca „prawdy kaganiec”, zagłębiająca się w siebie „potężnem milczeniem” („Sieroty”). Jego „myśl na chwilkę leci między lipowe, topolowe drzewa” i staje pod płotem jak obca („Wspomnienie wioski”), owa myśl, o którą się troska, że ani dźwięk, ani słowo nie wyda jej na świat w czystości, myśl, której siłą — cisza i milczenie. Największą troską Norwida jest niemożliwość poznania prawdy:

My nic nie wiemy, my przez całe życie
Chcemy coś wiedzieć, ale nic nie wiemy.
Rośniem zaprawdę — cóż, gdy i powicie
Rośnie, a nigdy go nie prześcigniemy.
Świat — to powicie, my zaś wieczne dzieci,
Bawim się cieniem i przed cieniem drżemy;
Trwoga ta skrzydłem błyskawicy wzleci,
I znów nam dobrze — i znów nic nie wiemy.
(„Chwila myśli“).

Norwid nosił w sobie dramat organiczny. Był to dramat rozdwojenia i odosobnienia. Samotność i smutek. Owa Myśl Norwidowa pod płotem w wiosce rodzinnej — to symboliczny moment tego dramatu. Smutek był tłem wszystkiego, co wynikło. Norwid nie był filozofem fachowym, spekulującym syllogizmami, co daje umysłowi pewne zadowolenie; ideę myśli, bytującej za światem, przyjął jako dogmat afektowo. Idea ta olśniewała, dziedziców myśli napawała poczuciem potęgi, ale jednocześnie okrywała żałobą po utraconym świecie, z którym dawniej wiązała duszę wiara w jego rzeczywistość, poczucie tożsamości i miłość. Pomysły filozoficzne z zakresu teorji poznania powodowały w umysłach wrażliwych owego czasu *Weltschmerz* intelektualny.

Było pewno coś w naturze Norwida, co sprzyjało przejęciu się rolą samotnika, poszukiwacza prawdy. Nie mogłaby jednak ta idea odegrać tak decydującej roli w jego wyobraźni, gdyby ze swoją Myślą nie odosobniał się od siebie samego. Na tem dramat polegał, że w nim samym odbywała się djalektyka, niepozwalająca duszy śpiewać *unisono*. Poprzednio już wskazywałem przykłady, że będąc artystą pełen był zarazem sceptycyzmu na punkcie sztuki.

Dramat ten musiał mieć swoje tło ściśle osobiste w dziejach wychowania i w dziejach społeczeństwa. Takie sprawy są zagadnieniami także kultury. Człowiek samotny w sobie, nie mogący dojść do współżycia harmonijnego z sobą samym, wydobyty z pierwotności i sobie zostawiony, męczy się, darmo szukając pomocy. Wielką, decydującą pomocą harmonizującą duszę jest kultura społeczna. A ta nie miała wtedy odpowiednich w Polsce warunków działania. Dusza, szarpiąca się wzwyż, tęskni do syntezy: utraciła tę, którą ma człowiek prosty z ludu, ale już do niej nie wróci; więc gdy społeczeństwo rozbite, jest jak na morzu. Daleko od ziemi, daleko od nieba. Syntetuzuje religja, ale gdy człowiek cierpi na rozdarcie właśnie z tego powodu, że utracił czucie prostaczka, a Boga widzi jako część składową systemu filozoficznego, to przecież myśl sama nie da mu tej pełni osobowości, jaką osiągnął w dobrych czasach kultury polskiej Jan Kochanowski.

(Dok. nast.) ZYGMUNT WASILEWSKI

BUDOWA

POCZUCIE budowy bezpośrednio i w całej pełni wyraża się w architekturze, a jego pierwiastkiem jest ułożenie bryły na bryle. Ponieważ architektura rozwija się nietylko od strony zewnętrznej, ale i od wnętrza budowli, więc wrażenie i wyobrażenie bryły przeniosło się także na przestrzeń, bryłami materjalnemi zamkniętą lub ograniczoną. Pokój mieszkalny jest bryłą powietrzną, zamkniętą ścianami, pułapem i podłogą. Drzwi i okna są bryłami powietrznemi, które z boków ograniczają ściany, a wolne są tylko na przestrzał. We drzwiach i oknach tak samo, jak we wszelkich załamaniach wnętrza, odczuwamy wzajemne oddziaływanie i, niejako, grę dwóch rodzajów brył — materjalnych i powietrznych. Załamanie ściany w komnacie widzimy jako bryłę materjalną samej ściany i zarazem jako bryłę powietrzną samego wnętrza komnaty — w jednym jej odcinku. Nawy kościoła, absydę, sklepienia, wszelkie wnęki odczuwamy jako większe i mniejsze bryły powietrzne, ułożone jedne obok drugich, lub jedne na drugich — w zespoleniu z bryłami materjalnemi, które są albo zamknięciami i ograniczeniami tamtych, albo w nich przebywają (jak słupy, kolumny i t. p.). Od strony zewnętrznej każdą budowlę również odczuwamy, jako jedną wielką bryłę, złożoną z wielu pomniejszych. W znaczeniu tak omówionem możemy przeto bryłę nazwać zasadniczym czynnikiem architektury, a układanie brył — jej czynnością podstawową.

Prawem synestezji poczucie bryły i budowy, o ile jest mocne, wchodzi w skład każdej pracy człowieka. Odczuwamy je w układzie społecznym i państwowym, w organizacji pracy, w każdem dziele techniki, nauki i sztuki. Co więcej — odczuwamy je w istotach, zjawiskach i przedmiotach przyrody aż do ogólnej budowy (właśnie „budowy”) wszechświata. W sztukach pięknych odnajdujemy bryły (w przenośni, czyli w odczuciu synestetycznem) tam nawet, gdzie panuje zmienność i ruch. jak oto w poezji, muzyce, aktorstwie i tancerstwie, Rozległość poczucia budowniczego jest wielka, a wszędzie układa się ono w podstawie poczynań i dzieł, nabiera przeto wagi dla nich rozstrzygającej. Gdziekolwiek zaczyna się zanik poczucia budowy i bryły — w architekturze, w poezji, czy w państwie — tam znamionuje on zachwianie się ducha ludzkiego, a wtedy z ogniska poszczególnego może rozszerzać się na całość życia ludzkiego. Z tego względu świadome hodowanie zmysłu budowniczego w każdej sztuce pięknej doniosłością swoją wybiega daleko poza jej granice, a teoretyczne na ten temat rozważania w sposób widoczny łączą każdą sztukę z kulturą w jej objawach i zagadnieniach najgłówniejszych.

W początkach ubiegłego stulecia przewiał Europę dobroczynny wicher romantyzmu, który jednak w młodzieńczym porywie burzenia próchen zburzył także niejedną rzecz dobrą, a pośród nich — artystyczne poczucie budowy i bryły. Uwydatniło

się to szczególnie w dramaturgji, mianowicie w teoretycznej i praktycznej wojnie romantyków przeciw klasycznej formie dramatu, opartej o trzy jedności — czasu, miejsca i działania. Argumenty, przez romantyzm przeciw owej trójjedności wytaczane, miały słuszne uzasadnienia logiczne, lecz uderzały w pozór, a nie w rzecz samą. Dramat klasyczny, urodzony w Grecji — w krainie architektury, z natury ducha greckiego musiał być zrównoważoną, doskonałą i scałkowaną bryłą architektoniczną, czego bez jedności czasu, miejsca i działania żadnym sposobem osiągnąć nie można. Nie chodziło o jedność dla jedności, ani o jej pedantyczne co do godziny wyliczenie, ale chodziło o jedność dla bryły, dla wrażenia bryły. Tego romantyzm nie dostrzegł, a i do dziś dnia, o ile wiem, nie dostrzegli tego estetolodzy poezji i dramaturgji.

Z zastrzeżeniem wszelkich praw, Szekspirowi należnych, ten bożek dramaturgji romantycznej pozbawiony był poczucia bryły i harmonji architektonicznej. Jego dzieła — to budowle cyklopowe, na które romantycy nie posiadali sił i rozmachu, a że odrzucili formę grecką, więc osiedli na piasku pomiędzy tem, czem pogardzili a tem, co ubóstwili. Rzecz to, istotnie, znamienna, że w dramaturgji romantyzm nie dokonał ani jednego dzieła wielkiego, pomimo, że uznawał w niej królowę sztuk, najwyższe objawienie artyzmu. A i dalej rzecz to jeszcze bardziej znamienna, że największy dramaturg naszych czasów — Wyspiański w najlepszych dramatach swoich, bez teoryj, objaśnień i wstępów powrócił do trójjedności klasycznej... i nic na tem nie stracił. Przemówił tu, oczywiście, instynkt wielkiego artysty-plastyka, całą duszą związanego z malarstwem, rzeźbiarstwem i architekturą. Dramat w jego natchnieniu samorzutnie układał się kształtem gmachu architektonicznego, to znaczy — kształtem jednolitym i zwartym tak w przestrzeni, jako też w tworzywie i czasie.

Romantyzm nie odróżniał dramaturgji od poezji. Z pomieszania dwóch sztuk odrębnych musiały wyniknąć błędy, szczególnie widoczne w rozprawach teoretycznych. Współczesna estetologja także tych dwóch sztuk nie rozróżnia i dlatego nie posiada klucza do oceny stanowiska romantycznego w dziedzinie teatru. Poezja rozporządza innemi, niż dramaturgja, warunkami i możliwościami budowy, a że romantyzm w głębi swej był ruchem wyłącznie poetyckim, więc zagadnienia budowy o wiele trafniej rozwiązywał w poezji Miał tu przytem zadania łatwiejsze, bowiem budownictwo poetyckie odznacza się znacznie większą swobodą, a nadewszystko, wolne jest od owego głazu obrazy — od jedności czasu i miejsca. Romantycy narzucali prawa dramaturgji — sztuce sobie obcej, a kiedy sami dziełami w jej szranki wstępowali, obracali się w niej, jak niedźwiedzie. Nie mieli prawa zasłaniać się egidą Szekspira, skoro jej nawet dźwignąć nie mogli. Szekspir nie tem jest wielki, że w dziełach swoich nie uwzględnia zasadniczej budowy dramatu klasycznego...

Z tej lekcji romantycznej taka dla nas płynie nauka, że wprawdzie konieczne jest w każdej sztuce poczucie budowy i bryły, ale ich tworzywo i charakter w każdej sztuce są inne. Nie można przerzucać ich z jednej sztuki na inną ze wszystkiemi ich właściwościami. Tylko najogólniejsza zasada jest wspólna: musi być wszędzie jakiś układ części, które odczuwamy, jako bryły, oraz konieczna jest ich harmonja. Architektura jest jedyną sztuką, która w sposób bezpośredni i konkretny buduje bryłami i układami bryl fizycznych, pełnych, trójwymiarowych, ona zatem jest pierwszą mistrzynią ludzkiego poczucia budowniczego. Zależna wprost od praw mechaniki — ciężaru, wytrzymałości, równowagi i t. d. — kształci i umacnia w człowieku nietylko mięśniowe, nerwowe i duchowe, lecz również artystyczne ich odczuwanie, a stąd drogami synestezji przenosi się ono na inne sztuki piękne.

Tak więc, naprzykład, w takim rodzaju poezji jak powieść, ze względu, zwłaszcza, na stosunkowo duże jej rozmiary, z wyjątkową, zazwyczaj, wrażliwością i świadomością odnosimy się do jej wartości architektonicznych. Mówimy, że dana powieść ma budowę płaską i ciężką, a inna — smukłą i lekką, ta — surową i prostą, a tamta — wytworną i bogatą, ta — jasną, owa — zawiłą. Graficznym wykładnikiem bryl powieściowych są tomy, lub części, a w nich — rozdziały. Mniej widoczne, często niepostrzeżone dla ogółu są pomniejsze bryły okresów i zdań. Podziały te są z wielu powodów konieczne, ale tylko wtedy posiadają życie i wartość artystyczną, gdy wynikają z wewnętrznych cech utworu — z jego obrazów plastycznych, węzłów i ogniw dramatycznych, postawów opowieściowych. Grafika, nieusprawiedliwiona temi i tym podobnemi zwrotami duchowego życia powieści, staje się rzeczą martwą i przykrą. Grafika w tempie i rytmie niezgodnym z treścią utrudnia i mąci rozeznanie budowy utworu. Właściwe jednak granice bryl, ich waga, wielkość, wyrazistość i układ — tkwią w wewnętrznych cechach powieści.

W ten sam sposób odczuwamy budowę w utworach muzyki, dramaturgji, aktorstwa i tancerstwa, które narówni z poezją rozwijają się w kategorjach czasu. Zatrzymujemy je, niejako, w pamięci w kształcie przedmiotów przestrzennych i rozważamy architektonicznie w postaci, niby, bryl i ich układów. Rysownictwo, malarstwo i rzeźbiarstwo, jako sztuki statyczne, same konkretnie podają bryły lub wyobrażenia bryl, przez co bliżej z architekturą się spokrewniają. Stąd to właśnie w tych sztukach plastycznych zagadnienia budowy są w świecie artystycznym powszechnie uznane i omawiane, a czasem stają się hasłem do wojen i przewrotów. Budowa utworów poetyckich nigdy jeszcze nie płonęła żagwią bitewną.

W sztuce polskiej, w jej ostatniem dziesięcioleciu, które koniecznie chce uchodzić za osobę, zaznaczył się głównie, jak wiadomo, tylko wypadek najazdu żydowskiego, pozbawiony bynajmniejszej wartości twórczej. Jest on jednak, w związku z tematem tych uwag, przez to ciekawy, że z nienawiści do kultury i sztuki instynktem wyczuł miejsce, gdzie przedewszystkiem napaść skierować należało: zaatakował budowę każdej sztuki, czyli wiązadła, bez których wszystko w sztuce rozpełza się, rozłazi, płowieje, butwieje i pada. Tumultem stu „izmów“ usiłowały Jojny i Ajzyki zatopić wszystko w aformizmie, czyli w bezkształcie i bezbudowie. To minęło, wywołując wrzenie tylko w bajorze grafo-i piktomanji. Atak był kapitalny, ale czas feralny... Pomimo, zrozumiałej zresztą w warunkach naszych, pauzy twórczej, sztuka polska ostała się na opoce poczucia budowniczego, a jej sztandar, jak był, tak i nadal ku niebu powiewia w kolorze amarantowym. Amarantos — po grecku znaczy: niepłowiejący.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

GŁOSY

Od jednego z wybitnych oficerów legionowych otrzymujemy następujące uwagi:

CO NAS DZIELI?

W Nr. 20/31 „Myśli Narodowej” w ciekawym artykule p. K. L. Konińskiego p. t. „O bibljotekę pamięci narodowej” szczególnie zastanowił mnie następujący ustęp:

„Nie ulega wątpliwości, że w syntetyczną pamięć narodową, po wydestylowaniu ze względów politycznych i z masy nienawiści do wszystkiego, co miało odwagę poprostu być kimś innym, wejdzie kiedyś z I Brygady to, co było najczystszą tęsknotą i dzielnością żołnierską. Długoszów, Pększyców i tylu innych nie powinno się zapomnieć. Ale dziś, kiedy ta auerola została tak doszczętnie i tak fatalnie wyeksploatowana, komuż z nas, kto widział nagankę na najlepszych żołnierzy polskich innych formacyj, chciałoby się czytać i mówić o I Brygadzie?“...

Przytoczony ustęp jest pocieszającym dowodem, że w świadomości uczciwych, światłych i przewidujących przedstawicieli Obozu Narodowego istnieje wyraźne rozróżnienie wśród t. zw. Obozu Legjonowego tego, „co było najczystszą tęsknotą i dzielnością żołnierską” od tego, co obecnie otoczone jest nienawiścią lub — w najlepszym razie — niechęcią olbrzymiej większości społeczeństwa.

Fakt, że czołowe w obecnym regimie jednostki wywodzą się poczęści z Legjonów Piłsudskiego, stwarza pozory, że Polską rządzi Obóz Legjonowy, jako taki. Niewątpliwie, przyczynia się do utrwalenia takiego poglądu istotnie stanowcza supremacja żywiołu legjonowego w wojsku od zarania jego istnienia. Niechęć zaś społeczeństwa do obecnego systemu rządów łatwo przeniosła się na całą rzeszę legjonistów, jako główną podporę tych rządów, przynajmniej jak to się przedstawia w pojęciu szerokich sfer.

Nie będę rozpatrywał, czy i o ile pozory te odpowiadają rzeczywistości. Zmusiłoby to mnie do rozszerzenia ram mych skromnych uwag. Ograniczę się przeto do podzielania się z czytelnikiem w dalszym ciągu memi osobistemi refleksjami, wywołanemi przytoczonym wyżej ustępem artykułu p. Konińskiego.

Z perspektywy kilkunastu ubiegłych lat, w świetle dokonanych faktów widać niewątpliwie, że założenia polityczne Legjonów Piłsudskiego były mylne.

Nie może to jednak w niczem zmniejszyć kapitału żołnierskiego poświęcenia się i bohaterstwa całej licznej szarej braci legjonowej, kapitału, złożonego w wielkim skarbcu różnorodnych wysiłków ku zdobyciu niepodległości i odbudowie państwa. Możliwe, że garść ofiarnej i szlachetnej młodzieży, która w 1914 r. w szeregach Legjonów wyruszyła na wojnę, była nadmiernie zapalną, lecz pamiętajmy, że, nie wnikając w żadne koncepcje polityczne swych przywódców, kierowała się ona w swojej masie pobudkami czysto ideowemi, chęcią walczenia przeciwko jednemu z zaborców temi środkami, któremi wówczas dysponowała.

Błędność założenia politycznego Legjonów spowodowała chłodną rezerwę lub nawet niechęć większości społeczeństwa. Z kolei wywołało to ze strony legjonistów rozżalenie w stosunku do społeczeństwa i pewnego rodzaju samorzutne wyeliminowanie siebie poza jego nawias. Najdobitniejsze tego wyrazy znajdujemy w pełnej pesymizmu i zgryźliwości piosence „Pierwsza Brygada”. Wobec tego stanęły Legjony wobec konieczności wyrobienia sobie swojej własnej ideologji, „ideologji legjonowej“. (Bez ideologji nie można dobrowolnie umierać). Podstawą tej ideologji stała się sama w sobie zbrojna walka, której gdzieś dopiero w oddali przyświecał ostateczny cel: zdobycie niepodległości.

Minęły lata. Powstała Polska. Walka o niepodległość jako taka, jak to trafnie określił prof. Stanisław Grabski w jednym ze swoich ostatnich artykułów, stała się bezprzedmiotową. Dla wielu z nas stało się jasnem, że nadszedł moment rewizji „ideologji legjonowej“.

W obecnej fazie dziejowego rozwoju Polski istnieje tylko dwa prądy (pomijając komunizm), w których poszukują ideologicznego oparcia lepsze elementy Obozu Legjonowego, prądy, które nanowo mogłyby związać nas ze społeczeństwem. Są to: socjalizm i nacjonalizm, dwa prądy, które, naprzemian opadając i wznosząc się, w ciągu długich szeregów lat będą w życiu Polski odgrywać decydującą rolę. T. zw. „ideologja państwowa“, z której usiłowano uczynić spadkobierczynię „ideologji legjonowej“, jest efemerydą, wynalezioną dla celów osobistych przez rządzącą klikę, i nie może być brana w rachubę. Jest ona zjawiskiem przejściowem, jak była zjawiskiem przejściowem dyktatura hiszpańska, i tak samo, jak ta ostatnia, nie posiada spadkobierców ideowych.

Z ideologją socjalistyczną łączą nas wspomienia przeszłości. Natomiast stoi ona w ostrej sprzeczności z obecnym, czysto wojskowym charakterem naszego obozu. Socjalizm z militaryzmem nie da się pogodzić. Zresztą czas i doświadczenie życiowe zdyskredytowały w oczach niejednego z nas niemało ideałów socjalistycznych.

Przychodzi się do przekonania, że postulaty ideologji nacjonalistycznej, czyli w naszych warunkach, postulaty Obozu Narodowego najbardziej odpowiadają naszym pojęciom o służbie Polsce. Jednocześnie, jako dostatecznie bojowe, odpowiadają one naszym temperamentom.

Niewątpliwie, dzielą nas z Obozem Narodowym w przeszłości ostre rozdźwięki i obopólne błędy, w teraźniejszości zaś umiejętnie przez rządzącą klikę wzniecane niechęci.

Nie wydaje mi się jednak, by osiągnięcie, że tak powiem, pewnego wspólnego mianownika ideowego było niemożliwe. Potrzeba na to przedewszystkiem obustronnej dobrej woli i wzajemnych ustępstw. Z naszej strony (przynajmniej ze strony tych, którzy umieją dalej patrzeć w przyszłość, którzy służbę dla dobra Ojczyzny stawiają ponad służbę dla jednostki i ponad doraźny interes osobisty) potrzeba objektywizmu w ocenie bieżącego życia w Polsce. Ze strony Obozu Narodowego potrzeba zrozumienia głównych składników naszej psychiki i... wyrozumiałości.

Sądzę, że przemyślenie możliwości znalezienia wspólnych punków stycznych będzie dla obu stron ze wszechmiar pożądanem.

LEGJONISTA

FAŁSZERZE HISTORJI

W TYCH dniach w „Kurjerze Wileńskim"* redagowanym przez p. Okulicza, literatka miejscowa p. Helena Romer, pisząc o pamiętnikach Hipolita Milewskiego, pozwoliła sobie na taką uwagę o działalności Komitetu Narodowego w Paryżu w czasie wojny i kongresu pokojowego (nr. 87):

„Rewelacje (p. Milewskiego) o działalności p. Piltza i Dmowskiego są nowym i cennym przyczynkiem do roli pomniejszycieli Polski i lizobutów moskiewskich, jaką ci panowie i ich klika odgrywała cały czas, trzymając się kurczowo ambasady rosyjskiej Izwolskiego, no... i płynących stamtąd pieniążków, hojnie wydawanych"...

Autorka będzie miała niewątpliwie okazję rozwinąć bardziej szczegółowo tę rewelacyjną informację o „pieniążkach" z ambasady rosyjskiej, dodaną fejletonowo na rachunek p. Milewskiego. Nie będziemy w tem miejscu poniżać się do dyskusji z p. H. Romer, kobietą widocznie tak moralnie zaniedbaną, że nie zdającą sobie sprawy z tego, o jakich ludziach i o jakich sprawach zdarza się jej pisać. Bardziej zastanawiającą jest dla nas rzeczą, jakiej to struktury jest redakcja „Kurjera Wileńskiego", że tego rodzaju oszczerstwa nie rażą jej poczucia odpowiedzialności.

Prezentujemy ten kwiatek jako okaz kultury umysłowej i moralnej tych Polaków, którzy 12 lat żyją w Polsce już niepodległej (ba, nie tylko żyją, ale pouczają jako publicyści) i dotychczas nie wiedzą, skąd ta niepodległość się wzięła.

W obozie sanacyjnym, mającym swoją przepisową historję Polski, nie tylko kobiety tak się zachowują wobec notorycznych faktów. Słuchacze kursów pewnego historyka-strzelca opowiadają, że gdy skończył wykład dziejów odbudowania państwa polskiego, zwrócili się do niego z uwagą: — Pan profesor nie wspomniał ani słówkiem o udziale Polski we froncie koalicyjnym, o wojsku polskim w Rosji i we Francji, o Komitecie Narodowym w Paryżu.

— Wiem — odpowiedział, — że coś tam było, ale ja się tem nie zajmowałem...

Można sobie wyobrazić, do czego czuje się upoważniona moralnie kobieta, tresowana przez tego rodzaju mężczyzn, nie mających odwagi patrzenia prawdzie w oczy. Ta poprostu szaleje, że jej wolno folgować namiętnościom snobizmu. W obozie duża bywa frywolność, ale najgorzej — z markietankami.

Na czem polega snobizm w grze politycznej? Otóż, ludziom serjo zależy na rzeczy. Tą „rzeczą" była Polska. Można się było mylić w drogach jej zbawiania, ale jeśli komu chodziło o rzecz, o Polskę, to jakże łatwo błąd swój uznać, a tem samem oddać sprawiedliwie, co się należy ludziom, którzy wiedzieli, co robią, umieli robić i zrobili. Dla snobów, którzy nie przejmują się zadaniem ani odpowiedzialnością i robią dla lustra i parady, objektywizm tego rodzaju jest niemożliwy. Wolą raczej konsekwentnie dzieje fałszować, aby nie stracić fasonu, w którym się osadzili na piedestale dziejów. Nie tylko w wykładach, nie tylko w publicystyce, ale w polityce dorabiać będą dzieje do swej legendy.

A natura ludzka, podatna wszelkiemu upodleniu, w odpowiednich warunkach dojść może do zakłamania na śmierć. W ten to sposób powstał nam w oczach i trzyma się cały obóz polityczny, fundowany na kłamstwie historycznem.

Każde dziecko w Polsce już wie, jak poszły sprawy w czasie wojny, co robił Komitet Narodowy w Paryżu i co zrobił, wie o tem, kto podpisywał w imieniu Polski Traktat Wersalski. Ale dzisiejszej Polsce oficjalnej o tem nie wiadomo; słyszała coś o tem, ale się tem nie zajmuje. A markietanka powiada wprost (bo jak się podobać, to już na całego!): „pomniejszyciele Polski!" I nie wstydzi się.

W r. 1917 obóz dzisiejszego „Kurjera Wileńskiego" majstrował nad doprowadzeniem do skutku pokoju separatywnego Rosji z Niemcami, a rezultatem tego układu cóż innego mogło być, jak nie utrzymanie zaborów? A teraz, gdy się to nie udało, „Kurjer Wileński" nie wstydzi się p. Lednickiego i pisze o „lizobutach moskiewskich" pod adresem tych, którzy Polskę Rosji wyrwali.

Wierzganie na historyczne fakty może daje jakieś zadowolenie w najbliższem kółku, ale śmieszne już się stało dla najszerszych kół, a dla tych, którzy się tak bawią, jest szkodliwe, albowiem ogół snadnie odnieść może wrażenie, że nie o sport kłamania chodzi, lecz o odrobienie historji, choćby z krzywdą narodu, w celu postawienia na swojem.

W ostatnim zeszycie (7) „Niepodległości" dr. Adam Próchnik ogłosił bardzo rozumny artykuł „O dzieje odbudowy państwa polskiego", w którym niebrak polemicznych uwag z powodu stanowiska Michała Sokolnickiego; pan ten utrzymuje, że niepodległość dostała się Polsce przypadkiem, a zresztą tem, co robił Komitet Narodowy, nie zajmował się. P. Próchnik, mówiąc o potrzebie objektywizmu w badaniu dziejów wojny, robi taką uwagę:

Nie można stanąć na stanowisku konwencjonalnego zapatrywania na objektywizm, że polega on na tem, aby żadnej ze stron walczących (obozów w kraju — przyp. red.) nie przyznać racji, aby zająć stanowisko pośrednie i jakby retrospektywnie rozjemcze między obozami. Może się naturalnie zdarzyć, że stanowisko takie będzie słusznem, ale czyż nie może się również okazać, że akurat jedna z walczących stron miała rację? (str. 6)

A właśnie taka była kategoryczność położenia w czasie wojny, gdy trzeba było wybierać jeden z dwu frontów. Neutralność nie była dla Polski do pomyślenia. Ale jakże daleko od tej refleksji pana Próchnika wszystkim tym w obozie „Kurjera Wileńskiego" i „Gazety Polskiej", którzy uważają, że ci, co stali po stronie zwycięzców i traktat ze zwyciężonymi podpisywali, są „pomniejszycielami Polski!" Ci bowiem tylko się zasłużyli, którzy stali po stronie przeciwnej.

Daremnie p. Próchnik będzie namawiał historyków z tego obozu, jak p. Sokolnicki, lub redaktorzy nawet „Niepodległości", do napisania objektywnej historji odrodzenia państwa polskiego. Z tamtego stanowiska niepodobna napisać takiej historji z sensem. Dopóki nie wymrze to pokolenie snobów politycznych, dla których wszystko jedno, gdzie kto walczył i z kim, którzy o prawdę nie mają czasu i ochoty się troszczyć, dopóki miarą zasługi będzie cynizm, z jakim kto potrafi zbeszcześcić rodowód niepodległości, dopóty o pisaniu historji objektywnej w tym obozie nie będzie mowy.

Z fałszywego stanowiska ten obóz nie umiał znaleźć wyjścia w życiu, nie potrafi go też znaleźć w historji. To też próżno po tej stronie oczekiwać dzieła historycznego. „Niepodległość" lata całe będzie kolekcjonować fotografje swoich ludzi i przyczynki martyrologiczne lub gloryfikacyjne takich bohaterstw, jak „Grzybów", ale to wszystko ani

na jotę nie zbliży do odpowiedzi na pytanie: jak powstała Polska niepodległa? Tamte ich bowiem roboty nie leżały na linji zjednoczenia Polski i nawet w czasie wojny nie miały planu politycznego.

Obóz narodowy nie ma ani środków ani wielkiej ochoty na zbieranie wspomnień, przyczynków i zaschniętych listków chwały. Ale już historję wojny i odzyskania niepodległości napisał. Historja najbardziej objektywna nie zdoła niczemu zaprzeczyć w tem, co napisali R. Dmowski w swojem dziele o odbudowie państwa polskiego, albo Marjan Seyda w dziele „Na przełomie dziejów".

Oczywiście redakcji „Kurjera Wileńskiego" zbyt dobrze się powodzi przy fruktyfikowaniu niepodległości, aby miała ochotę te dzieła przeczytać.

COR.

DOKUMENT

„GAZETA Warszawska" (nr. 139) ogłasza niezwykle interesujący dokument:

UZASADNIENIE WYROKU SĄDOWEGO.

Nr. sprawy XI C. 354/31.
Uzasadnienie nastąpiło dnia 21 kwietnia 1931 r.
Wyrok w Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

Obecni: Przewodniczący: wiceprezes K. Stankiewicz, sędziowie: A. Frydrychewicz, F. Honowski, sekretarz: apl. T. Kostecki.

Dnia 9.10 kwietnia 1931 r. sąd okręgowy w Warszawie w wydziale XI cywilnym na posiedzeniu publicznem rozpoznawał sprawę z powództwa Karola Orlika przeciwko skarbowi państwa, M. Lissowskiemu i T. Banko o 2.900 zł.

W skardze powodowej z dnia 10 marca 1931 r. powód, Karol Orlik, żąda zasądzenia mu solidarnie od pozwanych skarbu państwa, Mieczysława Lissowskiego i Tadeusza Banko sumy 2.900 zł. z 10% od dnia wytoczenia powództwa do dnia zapłaty, kosztów procesu i nadania wyrokowi rygoru natychmiastowej wykonalności. Roszczenia swe powód uzasadnia tem, że w czasie wyborów do Sejmu i senatu w r. 1930 pozwani Lissowski, który jest naczelnikiem wydziału bezpieczeństwa publicznego w Komisarjacie Rządu m. Warszawy, oraz Tadeusz Banko, podkomisarz policji państwowej, zaangażowali go do współpracy z Komisarjatem Rządu m. Warszawy w agitacji za listą wyborczą Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (lista Nr. 1) i przeprowadzenia rozłamu wśród milicji Polskiej Partji Socjalistycznej C. K. W. oraz Kole b. ochotników W. P. im. ks. Skorupki, za co powód miał otrzymać od pozwanych zwrot poniesionych wydatków, wynagrodzenia za swą pracę i posadę, tymczasem pozwani zwrócili mu tylko część poniesionych wydatków, natomiast od zwrotu reszty i wynagrodzenia za pracę, które to należności powód oblicza na wyżej wymienioną sumę, uchylają się. Na dowód powyższego powód załączył do skargi powodowej dokumenty i powołał się na świadków. Na rozprawie sądowej w dn. 9.4 1931 r. powód zmiejszył powództwo o 25 zł., które otrzymał już po wniesieniu skargi powodowej z Komisarjatem Rządu.

Po rozpatrzeniu sprawy i zważywszy:

1) że pozwani skarb państwa i Lissowski powództwa nie przyznali, wnieśli o jego oddalenie i zasądzenie im wynagrodzenia za prowadzenie sprawy od powoda, twierdząc, że w żądaniu powoda brak godziwej przyczyny;

2) że, jak widać ze złożonych przez powoda dokumentów i jego wyjaśnień, powód roszczenia swe opiera na umowie, której przedmiotem było zobowiązanie wpływania na wynik wyborów do Sejmu i Senatu drogą przekupstw, a mianowicie: obiecywaniem posad głosującym, urządzaniem dla nich libacyj, a nawet zaofiarowywaniem niektórym z nich drobniejszych kwot pieniężnych, oraz drogą podstępu, jak np. co do dokonania rozłamów wśród dwóch organizacyj, wskazanych przez niego, jednej społecznej, a drugiej politycznej:

3) że nietylko umowa powyższa, ale także samo żądanie powoda wynagrodzenia mu za wywarcie wpływu na sposób głosowania jest przeciwko prawu: art. 6 Rozp. Prez. z dn. 12.IX 1030 r. o karach dla ochrony wyborów, a tem samem w myśl art. 1133 K. C. oparte jest na przyczynie niegodziwej:

4) że w myśl art. 1131 K. C. zobowiazania o przyczynie niegodziwej nie mogą mieć żadnych skutków, a zatem i powództwo oparte na takiem zobowiązaniu, podlega oddaleniu i to nietylko w stosunku do pozwanych skarbu państwa Lissowskiego, ale także w stosunku do pozwanego Banko, który na rozprawę nie stawił się i wogóle nie składał żadnych wyjaśnień w sprawie;

5) że od powoda, jako strony przegrywającej, należy zasądzić na rzecz pozwanych skarbu państwa i Lissowskiego na ich żądanie wynagrodzenie za prowadzenie sprawy; z tych więc względów, na zasadzie art.art. 339, 366, 456, 711 U. P. C. i 1131, 1132 K. C. i art. 30 — 31 przepisów przechodnich o kosztach sądowych — postanowił: powództwo Karola Orlika oddalić i zasądzić od niego na rzecz skarbu państwa i Mieczysława Lissowskiego 188 (sto osiemdziesiąt osiem) zł. kosztów prowadzenia sprawy.

Na oryginale właściwy podpis. Za zgodność: za sekretarza (—) podpis nieczytelny. Wytłoczono pieczęć okrągłą: Sąd Okręgowy w Warszawie, Wydział XI Cywilny. Odpis niniejszy na zasadzie art. 715 Ust. Post. Cyw. wydano z akt Sądu Okręgowego w Warszawie, Wydział XI Cyw. Nr. XI C. 354/31 Karolowi Orlikowi. Opłatę kancelaryjną nie pobrano, gdyż powód korzysta z prawa ubogich. Warszawa, dn. 24 kwietnia 1931 r. Wiceprezes K. Stankiewicz podpisano. Sekretarz; podpis nieczytelny.

Z PEDAGOGIKI SANACYJNEJ

(Dokończenie)

II

DO KATEGORJI gorliwców należy niewątpliwie p. Włodzimierz Topoliński, dyrektor jednej z prywatnych szkół średnich, który objął to stanowisko specjalnie dla „uzdrowienia" tego zakładu po przewrocie majowym. Wyrazem jego gorliwości jest artykuł p. t. „Nauczyciel i wychowanie państwowe", ogłoszony w n-rze 10 „Przeglądu Pedagogicznego" z r. b.

Artykuł zasługuje na to, ażeby poznali go nietylko nauczyciele, ale i rodzice uczniów p. Topolińskiego oraz szersze koła społeczeństwa. Podaję go tu dlatego w obszerniejszem streszczeniu. Nie mogę się przytem powstrzymać, ażeby nie dodać od siebie pewnych nawiasów i podkreśleń, co do których autorstwa nie będzie zapewne wątpliwości.

P. dyr. Topoliński wychodzi z założenia, że „rzucone przed dwu laty przez p. ministra dr. Sławomira Czerwińskiego hasło wychowania państwowego w szkole" zostało już dostatecznie „spopularyzowane", „jest przyjęte przez organizacje nauczycielskie i w istocie swej nie budzi w żadnem środowisku szkolnem poważniejszych zastrzeżeń". „Zostało stwierdzone zarówno ze strony czynników oficjalnych (!), jak i w polemice (a zatem nie zgodnie!) na łamach prasy pedagogicznej, że wychowanie państwowe jest nadrzędne w stosunku do wychowania narodowego i moralnego (!) i nie stoi z niem w sprzeczności". Ażeby wygłosić ostatni aksjomat formułuje p. T. ideał obywatela — a raczej dobrego poddanego w duchu pruskim — „świadomie i chętnie wypełniającego wszystkie obowiązki względem Państwa, rozumiejącego pożytek dyscypliny społecznej, propagującego ją w imię idei dobra państwowego".

Po przyjęciu zasady odczuwa jednak p. T. brak dotąd pozytywnego programu. „W najbliższym czasie muszą się wyłonić wskazania praktyczne, które każda szkoła, uwzględniając tradycję i dotychczasowe środki oddziaływanja na młodzież, ujmie w konkretny program wychowawczy". Przedewszystkiem jednak potrzeba odpowiedniego ducha wiary wśród wychowawców. Polemizując z prof. Jakxą Bykowskim, powiada p. T., że „zakłamanym jest z pewnością (nie uczeń, ale sam wychowawca) gdy pewne prawdy, bijące w oczy (!), nie mogą mu przejść przez gardło, niech ich tedy nie wypowiada (co za tolerancja!), niech jaknajmniej obcuje

z młodzieżą (ułatwi mu to przeniesienie w stan spoczynku), dopóki nie podda sumiennej rewizji swego stosunku do życia i wypadków współczesnych" (tudzież swej karjery). Do tych nauczycieli, którzy nie odbyli takich oczyszczających rekolekcyj — z wynikiem pomyślnym — stosuje p. Topoliński cytat prof. Bykowskiego z Kalinki: „Tylko prawdą a pracą naród żyje, kłamstwo jak opium truje i usypia".

I tu wbrew p. Jędrzejewiczowi, który zakazuje mu patrzeć w przyszłość, p. T. ulega dawnym nałogom „postępowca", przybierając zarazem ton kaznodziei: „Nauczyciel musi z żywymi naprzód iść" (wszak umarli karjery nie robią), „nie ma prawa zasklepiać się w przeżytych formach... Nie może się również wyrzec współtworzenia teraźniejszości żywej, pulsującej, świadomej swoich dróg i celów. Nie znaczy to, aby brał czynny udział w życiu politycznem, aby wiązał się z jakiemś stronnictwem i poza niem — jak to się, niestety, dzieje — świata nie widział". (Ach to partyjnictwo!). „Nauczyciel z racji swego zawodu winien być czynnym obserwatorem i na podobieństwo sędziego instancją orzekającą i opinjodawczą. Nauczyciel daje zdrowy karm dla ducha nietylko młodzieży, którą kształci i wychowuje, ale promieniuje na całe otoczenie umiarem i trafnością swoich sądów, jest swego otoczenia sumieniem"..., a nadawszy sobie własną mocą tak wysoką godność, p. T. wydaje zaraz „bezstronne" orzeczenie: „...i nawet z t. zw. sprawy brzeskiej po głębszem i wszechstronnem w nią wniknięciu wyciągnie zgoła inne wnioski, niż to czyni krzykliwa moralność na pokaz. Oddzieli brzydotę pewnych czynów, będących konsekwencją brzydoty pewnych zjawisk, od konieczności państwowej, oddzieli ludzi wielkich od małych".

Trzeba mieć tupet nielada, ażeby wmówić w siebie, że takie swoje stanowisko można narzucić dziś młodzieży i rodzicom! Jeżeli opinja gron profesorskich wyższych uczelni może z taką łatwością być nazwana „krzykliwą moralnością na pokaz", to jakże ocenią uczniowie opinję nauczyciela, który staje w sprzeczności z powszechnem odczuwaniem społeczeństwa? Będą milczeć, bo muszą — to wystarczy panom Topolińskim, żeby wierzyć, iż cel swój osiągnęli.

I dalej idzie pochwała wychowawcy państwowego: „Nauczyciel, stając w ordynku szarych murarzy gmachu państwowego, przez czystość swoich pobudek kapitalnie (!) wzmocni szeregi Polski żywej, czynnej, rzetelnie patrjotycznej i skarci bezpłodny krytycyzm ludzi wierzących wyłącznie w siebie, lub tylko do chwili wystawienia ich siły twórczej na próbę. Nauczyciel w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu (czyli, naturalnie, „współpracujący"), to misjonarz, prowadzący maluczkich do światła (!), nie może zatem być ślepy ślepotą partyjnika. Jako człowiek zrównoważony sieje zdrowe ziarna zgody (?), pozytywnego stosunku do życia, jest cichym i niezawodnym sprzymierzeńcem każdego (podkr. autora) rządu, opartego o zdrowy rdzeń narodu (autor zapomina, że prawdziwy „państwowiec" nie mówi o narodzie), czerpiącego swą siłę z obrony najistotniejszych jego interesów i potrzeb. Nauczyciel wraz z rządem naród (jaki naród?) wychowuje i buduje potęgę państwa, uczy młodzież kochać i szanować sterników nawy państwowej. Nie krytykuje, lecz komentuje zarządzenia władz, pełen troski, aby nie zachwiać w wychowanku wiary w rozum, prawość i uczciwość zwierzchników. Nauczyciel, który tak rozumie swoją rolę w szkole i w społeczeństwie, bez pisanego szczegółowego programu da młodzieży wychowanie państwowe".

Miał być program a wyszło kazanie! Więc na końcu trochę ogólników o programie. Szkoła jako zakład wychowawczy — organizowanie samorządu, stowarzyszeń i kółek młodzieży — pieczołowity wgląd szkoły w życie organizacyj uczniowskich — wskazówka, że „wychowawca musi powrócić pamięcią do swej młodości" („duch buntu" — strajk szkolny — poco wskrzeszać te mary?) — „nadawać pracy właściwy kierunek niepostrzeżenie" (czy aby tylko młodzież nie pozna się na tem?) — uroczystości państwowe i lokalne (nie zapominajmy o wysyłaniu pocztówek imieninowych!) — wycieczki — to wszystko nic nowego! A potem przechodzi autor na teren poszczególnych przedmiotów nauczania, gdzie, jak na dyrektora szkoły, ma bardzo niewiele do powiedzenia, poza przykładami, nasuwającemi mu się bezładnie, pewnych momentów, „w których wychowanie państwowe znajdzie swój wyraz."

Niektóre z tych momentów są bardzo charakterystyczne: „Nauczyciel religji uczy moralności chrześcijańskiej, a więc społecznej (?) i poszanowania władzy" — bardzo to niejasno powiedziane, trzebaby może zwrócić się do ks. posła Czuja, ażeby bliżej sprecyzował ten program i napisał odpowiedni podręcznik etyki chrześcijańskiej.

Nauczyciel polskiego ma m. in. „wywoływać nastrój niechęci i potępienia dla postaci, które cechuje prywata, sobkowstwo, pieniactwo, warcholstwo". Ale jak traktować takie postaci jak Antygona, Brutus, Wilhelm Tell i t. p? jak czytać ustępy z „Dziadów", nasuwające drażliwe analogje? Jak wogóle każdy utwór oświetlać z punktu widzenia „państwowego"?—rozległe to pole, i jeszcze zupełnie nie tknięte.

Podobnie rzecz się ma z historją. P. Topoliński niewiele ma tu pomysłów, — obowiązkiem historyka jest m. in. „wykazanie w klasach, których program dotyka parlamentaryzmu, wielkich korzyści płynących z oparcia się rządu o stałą większość w parlamencie" — ale nie mówi autor, jak uczyć o konstytucji, która nie obowiązuje, jak uczyć o parlamentaryzmie, który jest obrzucany błotem, jak przedstawiać dzieje wojny światowej, Traktat Wersalski, przewrót majowy, przebieg ostatnich wyborów? — wypadki świeże jeszcze w pamięci uczniów — czy czytać w klasie wydane obecnie i usilnie zalecane „Pisma Marszałka Piłsudskiego", jako wytyczne sądy o narodzie polskim, jego charakterze i t. d.

Wiele jest jeszcze do zrobienia dla chętnych do „współpracy". P. Topoliński napisał za mało, żeby stworzyć wyczekiwany program, ale dość, żeby oświetlić siebie należycie społeczeństwu, które powierza dzieci kierowanej przez niego szkole, oraz władzom, które potrafią zapewne należycie ocenić jego wzniosłe pojmowanie roli nauczyciela. Czyniąc p. T. wizytatorem Kuratorjum O. S. W., spełnią władze zapewne gorące pragnienia... rodziców, którzy w ten sposób zwolnieni zostaną od bezpośrednich wpływów na swe dzieci apologety „sprawy brzeskiej".

Żart na stronę! Zapoznawanie się z poglądami wychowawców typu p. Topolińskiego jest może niezbyt przyjemne, ale jednak konieczne w dzisiej-

szych czasach dla rodziców, o ile nie chcą wyrzekać się prawa i obowiązku wychowywania swych dzieci, o czem przypomniała nam niedawno encyklika papieska. Prawdziwi wychowawcy zdawać sobie muszą sprawę ze wszystkich wpływów, jakim podlegają ich wychowankowie. Wówczas zdołają w razie potrzeby wpływy te odpowiednio zrówno ważyć. Wychowawcy „państwowi“ istnieją. Trzeba zatem poznać ich mocne i słabe strony, ażeby ich oddziaływanie należycie ocenić i własne postępowanie do niego dostosować.

Słabością p.p. Topolińskich jest przedewszystkiem to, że dbając tylko o wiatr, jaki wieje u góry, płyną pod coraz to potężniejszy prąd opinji społeczeństwa, który porywa z sobą młodzież daleko silniej, aniżeli wpływy szkoły. Ten ostatni fakt jest od nich niezależny. Bardziej osobistą ich słabą stroną jest ich zaślepiona wiara w nieograniczoną władzę swoją nad wszystkimi wychowankami. Ta wiara nie pozwala im widzieć i oceniać należycie prawdziwych reakcyj, jakie wywołują u uczniów ich zabiegi wychowawcze. Nie wiedzą przedewszystkiem, czy zapominają o tem, że wychowawca nie wzbudzający szacunku, nie respektujący głębokich uczuć i przekonań, okazujący lekceważenie dla osób drogich, narzucający gwałtem swoje poglądy i oceny—wywołuje u młodzieży najczęściej sprzeciw i uzyskuje wyniki wprost przeciwne do zamierzonych. Zamiast suggestyj pozytywnych — negatywne, zamiast asymilacji — dysymilację; uczniowie starają się zachowywać przeciwnie, niż im zaleca taki wychowawca. Jest on dla nich wzorem — jakimi być nie należy.

O tem wszystkiem mogliby się zapewne dowiedzieć wychowawcy, nie pamiętający swej własnej młodości, gdyby uczniowie opuszczający szkoły umieli i chcieli pisać wspomnienia o swych latach szkolnych, nie czekając lat późniejszych, kiedy i wspomnienia się zatrą i ocena faktów się zmieni. Ciekawe byłoby otrzymać takie zeznania milczącej dotychczas drugiej strony i jej ocenę wpływu, wywieranego przez przeświadczonych o swej wielkiej misji pedagogów „państwowych“, którzy dotąd sami tylko chwałę swą głoszą, każąc swe chęci przyjmować za fakty dokonane.

W. ZAWADZKI

KONGRES POLSKO-JUGOSŁOWIAŃSKI

OSIEM dni trwał kongres polsko-jugusłowiaski, zwołany do Polski z inicjatywy Ligi Organizacyj polsko-jugosł. z ks. Kneblewskim na czele. Licznie stawili się nasi pobratymcy południowi, by wziąść udział w naradach nad przyszłym rozwojem stosunków między oboma państwami. Wśród przybyłych widzieliśmy p. Radovanovica, dyrektora biura prasowego ministerjum spraw zagran. w Belgradzie, Zdenko Marković, autorkę rozprawy o Wyspiańskim i zasłużoną tłumaczkę licznych dzieł polskich, prof. Mole, p. Krakow', wybitnego dziennikarza belgradzkiego, ks. Fižigara, znakomitego poety słoweńskiego, Velko Petrovica, znanego poetę, prof. Stele z Lublany, prof. Jarca i wielu innych wybitnych przedstawicieli świata intelektualnego Jugosławji.

Pierwsze dwa dni t. j. 26 i 27 kwietnia odbywały się obrady Kongresu w Poznaniu. Uczestnicy wzięli udział w otwarciu Targów Poznańskich, zwiedzali szereg zakładów przemysłowych miejskich i prywatnych, oprowadzani przez przedstawicieli miasta i organizacyj społecznych. Jednocześnie odbyły się narady gospodarcze, na których wygłoszono szereg referatów. Dn. 28 kwietnia goście zagraniczni odwiedzili Gdynię, interesując się żywo portem i przeprowadzanemi urządzeniami.

Dn. 29 kwietnia rano przybyli członkowie Kongresu do Warszawy, gdzie dwa dni trwały narady na temat potrzeb i zadań zbliżenia kulturalnego między oboma bratniemi narodami. Obrady Kongresu w stolicy rozpoczęły się o godz. 11 zrana w wielkiej sali Rady miejskiej. Po ukonstytuowaniu się prezydjum, przewodniczący Kongresu prof. Ossendowski udzielił głosu prezydentowi miasta Słomińskiemu, posłowi Lazarevićowi i wielu innym osobom, witającym zebranych gości. Następnie p. Zdenko Marković wygłosiła po polsku referat o Bronisławie Grabowskim.

W godzinach popołudniowych odbyły posiedzenia sekcje porozumienia kulturalnego i literackiego polsko-jugosł., na których zostały wygłoszone interesujące referaty. Następnego dnia zrana odbywał się dalszy ciąg obrad Kongresu, na którym, poza referatem literackim p. Iwaszkiewicza, obszernie omówiono współpracę prasową polsko-jugosłowiańską.

O godz. 3 pp. wznowiono obrady, przystępując do odczytania rezolucyj, w których podkreślono znaczenie wycieczek krajoznawczych i zjazdów uczonych, zachęcano do współpracy kulturalnej i literackiej, wskazano na konieczność opracowania słownika polsko-jugosłowiańskiego i stwarzania wspólnych stowarzyszeń. Na zakończenie postanowiono dążyć do zorganizowania w najbliższej przyszłości Kongresu w Jugosławji i wyrażono podziękowanie organizatorowi zjazdu ks. Kneblewskiemu. Dn. 1 maja członkowie Kongresu udali się do Krakowa, gdzie nasi mili goście po zwiedzeniu pamiątek prastarej stolicy, oraz Wieliczki i Ojcowa wzięli udział w obchodzie 3-go Maja.

S. KOTW.

NAUKA I LITERATURA

Z okazji kongresu polsko-jugosłowiańskiego zamieszczamy kilka uwag o literaturze ludowej chorwackiej:

POEZJA LUDOWA CHORWACKA

PRZEŁOMOWA dla życia narodowego Chorwacji pierwsza połowa XIX w. zaznaczyła się też wybitnie zainteresowaniem społeczeństwa chorwackiego przebogatą poezją ludową. Pieśni gminne zostały po raz pierwszy z ust ludu spisane i drukiem ogłoszone przez Iwana Kukaljewicza-Sakcińskiego, Dragutina Rakoweca i Stanko Uraza.

Podzielić pieśni można na: pieśni obrzędowe, religijne, bohaterskie czyli junackie i miłosne. Pieśni obrzędowe sięgają bardzo dawnych czasów, jak to okazują niektóre z nich, wspominające bogów pogańskich, zresztą mało dla nas zrozumiałe, a zajmujące tylko swoją prostotą i oryginalnością. Bardziej zajmujące są pieśni ładarskie, zwane zapewne ztąd, że w piosenkach tych często wspominają boginię Ładę. W wigilję św. Jana, paląc ognie, tańczą dziewczęta „Kolo“, śpiewając je.

Pieśni religijne chorwatów odznaczają się dziecięcą prawie prostotą, a mimo to prawdziwą poezją, ujętą w formy nieuczone. Niektóre są bardzo dawne, co wnosić należy z pomieszania pojęć chrześcijańskich pogańskiemi. Osobny pomiędzy pieśniami religijnemi stanowią dział pieśni zwane przez chorwatów romarskiemi, dlatego, że śpiewają je pielgrzymujący do miejsc pątnicy, po chorwacku zwani *romari*. Co się tyczy pieśni bohaterskich, to nie znajdujemy wprawdzie między niemi tak pięknych jak serbskie; mają one jednak dużo wdzięku i życia. Obrazów bitew, znakomitych postaci niema w nich. Najstarszym zabytkiem pieśni junackich jest pieśń o Junaku, który idzie na Jeienie Pole (XIII w.). W okolicach nowego Winodolska krąży pomiędzy ludem, pieśń żałobna o ostatnim frankopanie Terżackim i banie Zrinskim

(XVII w.). Pieśni miłosne ,są u chorwatów reprezentowane bardzo licznie. Najcelniejsze z nich są: Sułtanowicz Selim i córka Mehmeda-paszy, Jan Karłowicz z Medvedgradu i piękna Magdalena.

Oprócz pieśni czysto ludowych, składanych po dziś dzień przez nieznanych po większej części piewców niewykształconych, mają chorwaci dużo pisanych przez najznakomitszych poetów narodowych, jak to: Mażuranica, Preradowicza, Berliczewej, Kazali, Korwatowej, Michanowicza, Kazali i innych. Między temi odznaczają się prostotą duchai formy pieśni junackie i wszelkie inne osnute na tle podań gminnych. Poezje te jedynie wdzięczniejszem wysłowieniem i elegantszym układem różnią się od ludowych.

ZYGMUNT OKNIŃSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W serji „Bibljoteka laureatów Nobla" (Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań) ukazał się tom, zawierający trzy długie nowele, czy też krótkie powieści Knuta Hamsuna pt. „Pan. — Wiktorja. — Marzyciele". Są to pierwsze młodzieńcze jeszcze utwory pisarza skandynawskiego, którego dzieła zyskały zasłużony rozgłos daleko poza granicami jego ojczyzny.

W twórczości Hamsuna i w jego sposobie odczuwania jest jakgdyby jakaś barbarzyńska pierwotność, ogromnie germańska, i jakiś również prymitywny, żywiołowy a nieujęty w karby—sentymentalizm. Nie dziw, że dla naszej wrażliwości ten typ psychiki musi wydawać się czemś odległem, obcem, trudnem do zrozumienia. Nasi „Chłopi" reymontowscy, w zestawieniu z bohaterami Hamsuna, sprawiają wrażenie przedstawicieli starej, arystokratycznej kultury. Jest ponadto w „Panie—Wiktorji—Marzycielach" niezbyt do dzisiejszego pokolenia przemawiający, jakiś swoisty styl i smak „modernizmu" z przed lat mniej więcej trzydziestu, kiedy to Hamsun był bożyszczem ówczesnej bohemy berlińskiej, kiedy młody Stanisław Przybyszewski, wówczas jeszcze jako jeden z przywódców „Młodych Niemiec", umieszczał o nim w pismach niemieckich entuzjastyczne artykuły, aby następnie szerzyć jego sławę również w powstającem właśnie środowisku „Młodej Polski" w Krakowie.

Ale poza i ponad tem wszystkiem góruje fakt niewątpliwy: Hamsun jest artystą rzetelnym, prawdziwym, obdarzonym własnem na świat spojrzeniem, i to zapewnia mu w dziejach liturgatury miejsce trwałe i niezależne od przemijających wahań gustów i mody. Jest poetą swojego kraju i swojej rasy, umiejącym odczuć zwłaszcza urok przyrody w sposób niekiedy zadziwiająco subtelny i świeży.

Przekładu z norweskiego dokonał Czesław Kędzierski, a uczynił to ze starannością niezwykłą, posługując się nader bogatem słownictwem, dbając nietylko o wierność i ścisłość tłumaczenia, ale o dźwięczność i specjalny, trudny do uchwycenia rytm prozy, mający w polskim języku odtworzyć poetyckie piękno oryginału. (J. R.).

*

Literatura amerykańska coraz więcej zaczyna zdobywać polskich czytelników i coraz więcej autorów widzimy w przekładzie. Po Dreiserze i Lewisie, Johnie Dos Passos i Hemingway'u przypomniał się Hergesheimer, którego zresztą słaba powieść „Tampico" ukazała się już parę lat temu w wydawnictwie „Bibljoteki Groszowej", przeszła jednak wówczas bez wrażenia. Niedawno ta sama firma wydała w lepszej już szacie zewnętrznej najlepszą według krytyków amerykańskich powieść Hergesheimer'a, „Cytherea", pod zmienionym tytułem „Odwieczna tęsknota". Autor jest spadkobiercą Pater'owskiej i Wilde'owskiej szkoły estetycznej, której wpływ dość późno, jak widać, zaznaczył się w Ameryce. Sam problem powieści nie jest zbyt nowy: oryginalność i przygoda jako konieczne pierwiastki w życiu, przedmiot tęsknoty człowieka. Interesujące natomiast jest jego oświetlenie, ciekawy punkt widzenia autora, wyraźnie zarysowane postacie, szczególnie centralny bohater—człowiek cierpiący z powodu zbyt idealnych warunków życia, który wreszcie zrywa ze wszystkiem, aby przeżyć jedną przygodę; potem wszystko mu jedno, co się z nim stanie — osiągnął bowiem to, na co czekał tyle lat — dręczący go niepokój i tęsknota za czemś nieznanem została zaspokojona.

Paterowski estetycyzm przejawia się u amerykańskiego autora nawet w głównym motywie powieści — w artystycznej lalce, uosobiającej piękno i egzotyzm w wyobrażeniu bohatera, zmęczonego idealną codziennością. Pozatem widoczne jest owo przerafinowanie estetyczne w poglądzie na życie — spokojnym, bez zapału, zlekka ironicznym, choć pełnym odczucia piękna nawet w rzeczach drobnych; to odczucie znajduje również wyraz w formie — w upodobaniu do malowania, pięknych strojów, mebli, do kontemplacji nad kolorem włosów kobiety, czy barwą *cocktail*'u. Książka ciekawa, jako przykład wpływu kultury europejskiej na amerykańską, warta jest poznania. (A. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazała się książka René Benjamin'a p. t. „*Grandes figures. Barrés, Joffre*". (*Librairie Plon*). Zasługuje na uwagę rzecz o Barrés'ie, która zajmuje zresztą większą część książki. Przed oczyma wyobraźni czytelnika rysuje autor postać wielkiego pisarza, przyczem stara się uwydatnić, jak się w nim łączyła twórczość artystyczna z pragnieniem brania udziału w życiu czynnem, w akcji politycznej. Kto widział Barrés'a na zgromadzeniach publicznych, w jego biurze poselskiem, kto czytał jego powieści, ten musi przyznać że Benjamin dał sylwetę wielce podobną i że można w jego książce znaleźć wytłumaczenie wielu rzeczy, które wydają się niezrozumiałe. (K.)

*

U Kiepenkenera w Berlinie wyszła w taniem wydaniu powieść Arnolda Zweiga: „*Die Novellen um Claudia*", jedna z najlepszych powieści tego pisarza. U nas A. Zweig znany jest z tłomaczonej i wydanej przez „Rój" powieści wojennej: „Spór o sierżanta Gryszę". Atmosfera, w jakiej przebywają bohaterowie powieści Zweiga jest przesycona kulturą artystyczną, bohaterowie zaś są ludźmi, obdarzonymi niesłychanie czułym systemem nerwowym. Taka atmosfera panuje w powieści: „*Die novelle um Claudia*". Doktór Rohme, młody docent historji sztuki, zakochany w uroczej i bogatej Klaudji, dziewczynie o wysokim smaku artystycznym, cierpi z powodu swego przeczulenia i niezdecydowania, jest w stałej rozterce ze sobą. Charakterystykę Rohmego daje rozdział pierwszy. W rozdziale następnym postacią centralną jest malarz Klaus Mauth — który podobnie jak Rohme w pierwszym rozdziale opowiada charakterystyczny epizod z swego życia, by się samemu poniżyć — i znów podobna sytuacja w rozdziale następnym z muzykiem. Wszędzie poniżanie siebie służy do podniesienia wartości, wielkości i nieśmiertelności sztuki. Wydaje się wprost — że artysta prawdziwy musi w sobie mieć coś z łotra, przestępcy, aby być wielkim. Klaudja chłonie wszystkie opowiadania w siebie i zbliża się powoli do Rohmego — wreszcie wychodzi za niego. (A. J.)

*

Nakładem Zolnauk'a (Berlin, Wien) ukazała się wielka powieść biograficzna Franza Werfla: „*Verdi*" (tłumaczona u nas w skrócie) gruby, pięknie w płótno oprawny tom z złoceniami (str. 604). Nie jest to najlepsze dzieło Werfla, który przedewszystkiem jest lirykiem. „*Verdi*" w powieści Werfla potraktowany jest z szczerą sympatją w swej walce z Wagnerem, którego wpierw nie rozumiał, potem nienawidził i podziwiał — a którego sławę osiągnąć pragnął—czując, że słodka muzyka włoska wypierana zostaje, szczególnie u młodych, wykształconych Włochów przez Wagnera. Zręcznie wpleciona nić romansowa, szereg charakterystycznych epizodów ożywiają tę ciekawą, ale zanadto rozwlekłą powieść. (A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„Młody las", tak ochrzcił p. J. Kleczyński („Kurjer Warsz.") zespół wystawców, pisząc o wystawie bieżącej salonu wiosennego u Baryczków. I słusznie. Młody las rośnie i stare dęby nietylko nie są zdolne go zagłuszyć lecz same muszą dbać o to, aby ich koron nie skryła bujna gęstwa młodzieży. Okres obecny w naszej sztuce jest okresem przemian, następuje jakby zmiana warty, szereg młodych talentów opuścił mury uczelni, powstało wiele nowych stowarzyszeń malarskich i rzeźbiarskich. Zawcześnie jeszcze na robienie jakichś podsumowań i bilansów, lecz już dziś można wnioskować o rozmiarach przyszłego plonu. Jedną z jego obiecujących, chociaż tylko częściowych zapowiedzi, jest właśnie salon wiosenny. Ma on charakter żywy i daleko ciekawszy od jesiennego. W atmosferze młodości nabrali rumieńców życia i przedstawiciele starszej, uznanej już generacji Wielu z nich wystąpiło z daleko poważniejszemi dziełami, niż na salonie poprzednim. Borowski wystawił trzy kompo-

zycje olejne, o technice charakterystycznej raczej dla pasteli, przeważają ulubione przez artystę barwy: żółta zielonkawa i szara z odcieniem fioletu. Czajkowski zaprezentował pejzaż „Jesień (z gęsiami)". Zasługują na baczną uwagę wielkie płótna Kowarskiego, nawiązujące zdaje się rozmyślny kontakt z pewnemi momentami z historji malarstwa. Posiadają one romantyczny patos i określony gest dramatyczny. Koloryt ciemny i posępny, kładzenie farby ciężkiemi zwałami gęstej pasty, przyczyniają się skutecznie do spotęgowania nastroju. Wydaje mi się tylko, że obraz „Wędrowcy" zyskałby na zmniejszeniu. Tuż obok Kowarskiego muszę wymienić Pękalskiego, gdyż między nimi istnieje niewątpliwa więź wspólnoty. Wspólne im obu są pewne cechy formalne ich malarstwa, dzieli odmienna postawa duchowa. A. Michalak zerwał z wielkiemi kompozycjami i dał szereg obrazów o charakterze kameralnym. Niby portrety fantastyczne, zaaranżowaniem całości, doborem barw wreszcie („Dziewczyna z różą"), suggerują nastrój o sciszonym posmaku nie amowitości. Pogłębienie treściowe, przy tej samej wysokości klasy technice, zapisujemy Michalakowi na plus. W. Palessa w „Teatrze" postanowił sobie trudne i ciekawe zadanie malarskie, rozwiązane pomyślnie i wytrzymane w całości, lepsze od jego „Aktu". Pejzaże Arcta są dziełami wcale dużej kultury i szlachetnego umiaru, znamion tembardziej cennych, gdyż cechujących młodego bardzo artystę. Z prac Arcta widać wyraźnie, że uczenia się od innych nie utożsamia bynajmniej z naśladowaniem nauczycieli. Jadwiga Przeradzka sprezentowała nam mały obrazek, b. smacznie malowany, o temacie dość swobodnym, mimo to zręcznem posunięciem sprowadzonym na tory właściwe szanującej się sztuce. Bracia Seidenbeutle zadziwiają nas nadal swą wirtuozerją techniczną, posuniętą już do granic akrobatyki; bardzo pięknie, to są środki, a teraz panowie pokażcie, co potraficie przy ich pomocy zrobić? Wśród modernistów Rom Witkowski popisuje się rozmaitemi dowcipkami, bawią nas te dowcipuszki, ale... Zato z szacunkiem jesteśmy dla obrazu K. Mackiewicza, nikt nie zaprzeczy, iż zadanie swoje traktował artysta poważnie. Spółka: M. Bylina i prof. Pruszkowski wystawiła dużą kompozycję historyczną, w katalogu figurującą pod nazwiskiem profesora, nie wiem dlaczego, bo dowcipna fama głosi, że Pruszkowski malował w niej... niebo. Żart żartem — obraz jest dobry.

Na tem muszę zakończyć, chociaż wielu nawet nie wymieniłem, nie gniewajcie się na mnie, ciężka to sprawa pisać o salonach. W wystawie bierze udział spory zastęp młodzieży z Krakowa, ponieważ jednak Instytut ma zamiar urządzić specjalny pokaz sztuki krakowskiej, o młodych jej przedstawicielach pomówimy przy tej sposobności. (W. P.)

*

Trzydzieści lat podobno maluje już Z. Badowski. Z tego powodu urządzono jego wystawę jubileuszową. Trzydzieści lat! Kawał czasu. Chciałoby się o jubilacie powiedzić parę słów miłych, chociażby z racji tyloletniego trudu. Niestety. Wymieńmy pokolei walory, które, istniejąc w obrazie w mniejszym, lub większym stopniu, mogą stanowić o jego wartości. Rysunek: B. rysuje b. powierzchownie i słabo, a zalizując i wygładzając rysunek, nadaje mu pozory dobroci, zwłaszcza w oczach niewyrobionej publiczności. Kolor: B. wykazuje uderzający brak wyczucia koloru, to też najstraszliwszy jest wtenczas, gdy usiłuje malować „kolorowo". Technika: B. nie przekracza poziomu najbardziej ubogiej faktury olejnej. A teraz punkt ostatni: może to forma tylko u Badowskiego jest niecieknwa, a istotna wartość jego dzieł kryje się w ich treści (oczywista nie literackiej, a plastycznej), w sposobie podejścia do tematu, w indywidualnem i ciekawem jego ujęciu? Można przecież nieudolnie się wyrażać, a mimo to wiele mieć do powiedzenia. Niestety i tu spotyka nas zawód. Są gusta i guściki, jak się mówi; wyrażając się słowami Badowskiego, jego pogląd na „istotę piękna", to właśnie taki sobie pensjonarski guścik. Kompozycje w rodzaju „Cudu" widywałem nieraz w albumach mniej inteligentnych panienek z 5 tej klasy. Ckliwy banał cechuje także resztę prac. W malowidle „Wyśniony sen" Polska, jako postać niewieścia (niewiadomo dlaczego obnażona), powstaje z grobu. Jeśliby tak miała wyglądać, jak na obrazie Badowskiego, doprawdy nie można mieć zbytniej pretensji do zaborców, że tak długo trzymali ją w trumnie. Stosunkowo niewinnie przedstawiają się małe rysuneczki kotków i t. p. milasków. Do bardziej poprawnych prac zaliczam również autoportret malarza.

Wstęp do katalogu napisał Badowski sam. Bardzo to ciekawe wynurzenia, ze względu na swój charakter. Z pobytu na studjach w Krakowie (epoka Przybyszewskiego) taką znajdujemy notatkę: „Nie chcę także malować szatanów i nagiej duszy"... Nagiej? owszem, zaprzeczyć trudno. Ale poco to duszą nazywać? Dalej: „Nie rozumiem dlaczego (Wyspiański) milczeniem zbywa moje naiwne, pytanie o istocie piękna, którego w jego w sztuce nie umiem odnaleźć" (*sic!*).

Dalej: „Jestem przekorny i nieuległy"... No chyba... „Malarstwo moje nie jest na pokaz (choć to brzmi jak paradoks)". Nie, to nie paradoks. Wreszcie: „zaczynam rozumieć... że żadną pociechą nie jest, jeżeli ktoś odemnie jeszcze gorzej maluje". Zrozumiał, ale konsekwencji z tego nie wyciągnął. Takie zrozumienie to dla nas też „żadna pociecha". (W. P.)

*

Jednocześnie z Umińską i Badowskim w Zachęcie wystąpił z kolekcją prac St. Dybowski. Poważne i szczere ustosunkowanie się Dybowskiego do podejmowanych zadań każe nam żywić dla artysty szacunek. Jego krajobrazy olejne ród swój wywodzą z krakowskiej szkoły pejzażu, tak zasłużonej dla naszej sztuki. Odnajdujemy w nich wpływy Tichego i St. Czajkowskiego, lecz raczej w postaci nauki, a nie naśladownictwa. Dlatego też ich charakterystyczną cechą jest zdecydowana dekoracyjność i technika operowania dużemi, zdecydowanemi plamami. Takie traktowanie farby olejnej niezawsze wyzyskuje jej mnogie i różnorodne możliwości. Urozmaicenie faktury olejnej wyszłoby, mojem zdaniem, obrazom D. na korzyść. Obok prac olejnych Dybowski wystawił szereg akwarel, wyobrażających wnętrza chat: łowickiej, huculskiej, podhalańskiej, kurpiowskiej, oraz z innych okolic naszego kraju. Wnętrza te mają charakter wybitnie dokumentalny i taki też był i cel ich wykonania. W rozwiązaniu tych niewątpliwie trudnych (i żmudnych) zadań artysta utrzymał dostateczną drobiazgowość, unikając szczęśliwie oschłości, a w niektórych fragmentach (np. piece) osiągnął dużą wyrazistość, smacznemi i malarskiemi środkami. (W. P.)

*

Z Dybowskim sąsiadują: Marja Cybis i Henryk Tellos. Prace obojga rozwieszono w ten sposób, że obok pejzażu Tellosa wisi rysunek Cybisowej i tak naprzemian przez całą ścianę. Ta przeplatanka, optycznie szczęśliwa, niektórych jednak „speszyła": przypisywano czasem wszystko jednej osobie. Rysunki pani M. Cybis, notatki z pobytu w tak zwanej teraz modnie Italji, wykazują dobrą szkołę rysowniczą, znać na nich wyraźny wpływ korektora, małżonka artystki, jednego z najznakomitszych rysowników w Bractwie św. Łukasza.

Tellos sprawił nam prawdziwą niespodziankę. Długi czas malarz nie mógł się uporać z pewną niemiłą manierą. Praca, silna wola i przedewszystkiem ambicja usunęły w końcu zaporę, tamującą pomyślny rozwój młodego artysty. Wystawione obecnie pejzaże dowodzą, że można być indywidualnym i współczesnym, nie naśladując jednocześnie „Paryża", bez czego niektórzy nie mogą sobie współczesności wyobrazić. Tellos lubi koloryt jasny, ma technikę płynną, krajobrazy jego są delikatne i pogodne. Najlepszy jest „Tartak", świeży w wyborze tematu, piękny w kolorze. (W. P.)

NA MARGINESIE

Politycy „Gazety Polskiej", walczący zajadle ze społeczeństwem polskiem i z historją, udowodniają teraz, że Korfanty na Śląsku — to mit, skomponowany przez opozycję. Był ktoś tego nazwiska, ale nie umiał walczyć z Niemcami. Gdyby nie Grażyński, nie byłoby Śląska. Wynikałoby ze wszystkiego, że „sanacja" i teraz rwie się do walki z Niemcami. Przeciwko nim urządzili manifestację na Śląsku, nie przeciw Korfantemu, którego wogóle niema na świecie.

*

„Robotnik" zganił rządowi, że w czasie kryzysu gospodarczego i budżetowego wydał 700.000 zł. na kupienie „Psałterza Florjańskiego" dla Bibljoteki Narodowej. Któżby przypuszczał, że „Gazecie Polskiej" tak bardzo zależy na Psałterzu!

„Za Psałterz Florjański — woła z namaszczeniem „Gazeta" —z chwilą, gdy zabytek ten jest do sprzedania — każda cena winna być zapłacona. Wymaga tego tysiąc lat naszej kultury i nasza historja. Poza brzuchem, bezrobotnymi, kryzysem, „pseudointeligencją" pracującą w „Robotniku" są jeszcze... i m p o n d e r a b i l i a".

Jakie to subtelne! Gdybyż za *imponderabilium* uznano tam jeszcze — dajmy na to — prawdę, honor, godność ludzką, konstytucję! Ale te rzeczy nie mają „ceny".

*

„Czas" krakowski organ konserwatystów zsanowanych, nie ceni rzeczy nieważkich. W artykule wstępnym w nr. 99 pokpiwa sobie z opozycji, która robi „burzę w szklance wody" z powodu pogwałcenia konstytucji i regulaminu sejmowego. Są to według niego sprawy „błahe" i czcze gadaniny. Jedna tylko rzecz jest w Polsce ważna: „od rozwoju sytuacji gospodarczej zależy najbliższa nasza przyszłość". „Czasowi" zależy tylko na „najbliższej" przyszłości, na precyzji słowa i myśli — nie bardzo. Bo co to znaczy „rozwój sytuacji?" Płytko tę nieszczęsną Polskę orzecie, panowie!

„CZAS TO PIENIĄDZ“

Tak długo jedzie pociąg pośpieszny

Tak krótko leci samolot

między temi samemi dwoma miastami.

Podróż powietrzna jest szczytem bezpieczeństwa, komfortu i wygody.
Poczta lotnicza rywalizuje z telegramem i jest od niego wielokrotnie tańsza.
Powietrzny przewóz towarów zapewnia najszybszą dostawę i inkaso pieniędzy.

TOWARZYSTWO AKCYJNE
CUKROWNI
„CIELCE”

Poczta i telegraf WARTA, ziemi Kaliskiej

Stacja kolei BŁASZKI

BIURO ZARZĄDU:
Warszawa, ulica Boduena Nr. 1
TELEFON 61.

OSTATNIE PRACE LITERACKIE
ZYGMUNTA
WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) . 3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciecha) . . . 2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.“) 1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.“) . . . 5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff) . . . . 4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Narod.“) . . . . 2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff) . . . . . 6.—
Dyskusje (Św. Wojciecha) . . . . 5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff) . . . . . . 4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff) 7.50
Pieśń w górach („Patria“, Ossolineum) . . . 5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff) 4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

NAKŁADEM TOW. WYD.
„PATRIA“
SPÓŁDZ. Z OGR. ODP.

WYSZŁY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ

Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości.—Terytorjum i granice.—Polski patrjotyzm.
CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH

Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.
CENA 5 ZŁ.

Jan Gwalbert Pawlikowski
SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU
CENA 4 ZŁ.

Skład główny w Domu Książki Polskiej w Warszawie, pl. Trzech Krzyży 8.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-571 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.